



WIEŚ ILUSTROWANA
PAŹDZIERNIK 1912.



FIRANKI **DYWANY** Materje meblowe
PORTJERY
Własnej fabryki

Z. Kiltynowicz

Nº 16 (wprost Erywańskiej)

ul. Mazowiecka Nº 16.



MAGAZYN

HENRYKA SCHWARZA

KRAKÓW

GRODZKA 13. TEL. 43.

□□□

FUTRA,

PŁASZCZE
ANGIELSKIE,

ZIMOWE
KOSTJUMY,

NAJNOWSZE
BROKATY
NA SUKNIE.



RESTITUTIONS FLUID Apteka W. BOROWSKIEGO

w WARSZAWIE, ul. Przejazd. Tel. 3943.

PLYN ODŻYWCZY RESTYTUCYJNY wzmacniający członki tudzież przeciw słabościom reumatycznym oraz wszelkim stłuczeniom. ooo

REFIR REKIERTA, najlepszy 8 kop. butelka
— w abonamencie —

KOSZYKOWA № 33. ooooooooooooooooooooo TELEFON № 15-31.

Wies' ilustrowana



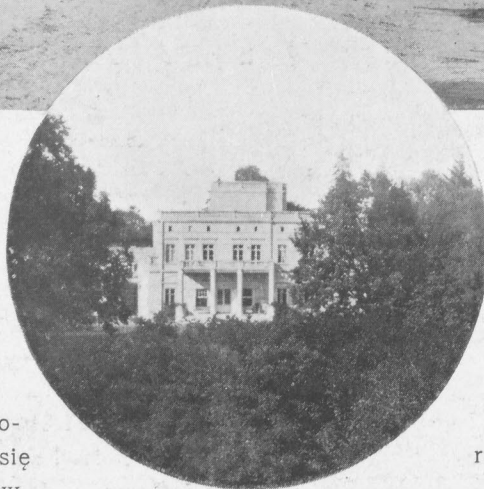
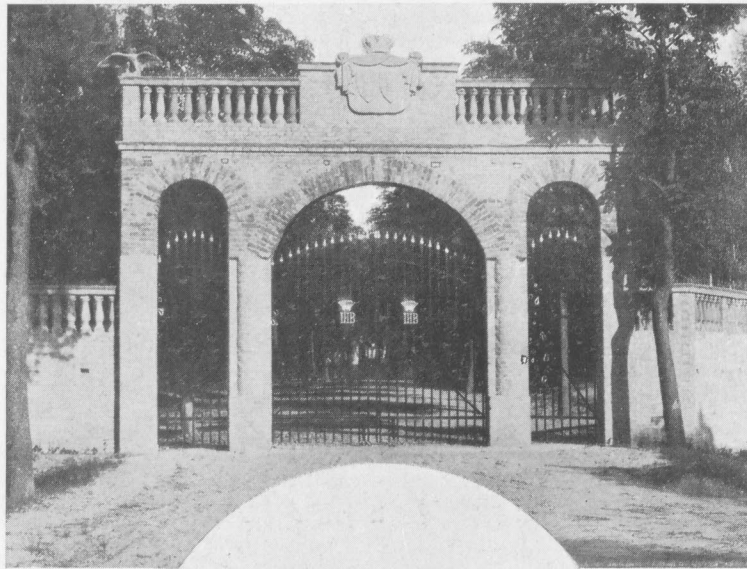
Stanisław Trembecki. Ze zbiorów Biblioteki Ordynacji Hr. Zamoyskich
(fot. Marjana Fuksa).

STANISŁAW TREMBECKI

SZKIC JUBILEUSZOWY.



to lat mija od chwili, jak „bez żadnej choroby, oprócz osiemdziesięcioletniego wieku“ umarł najwybitniejszy pisarz epoki Stanisławowskiej, „comte de Prusse“ — jak się sam utytułował na salonach paryskich, „tueur des marquis“ — jak go tam nazywano z racji nieprzeliczonych pojedynków, szambelan „Pythagoras“ Stanisława Augusta Poniatowskiego, człowiek obdarzony bystrym umysłem i wielką znajomością świata i ludzi. Pisarz wykształcony na klasykach i mistrzach złotego okresu poezji polskiej, pamflicista przesiąknięty cynicznym dowcipem Francuzów, poeta o wykwintnej formie, pełnej siły i językowych piękności, prekursor Mickiewiczowskiego stylu, twórca „Zofjówki“, — Stanisław Trembecki. Urodzony w roku 1730 w ziemi Proszowskiej, dawnym województwie Krakowskim w domu majątnych rodziców, pobierał staranne wychowanie i już od wczesnych lat wykazywał niepospolite uzdolnienia. Kształcił się następnie w uniwersytecie krakowskim, gdzie pod kierunkiem zwłaszcza profesora Tomeckiego, studiował klasyków. Następnie dla dopełnienia swej edukacji, zgodnie z przyjętym naówczas obyczajem udał się zagranicę i wkrótce widzimy go wśród najwyższej sosjety Paryża, bo nawet na dworze Ludwika XV-go. Tam też zapewne poznał Trembecki Stanisława Poniatowskiego, późniejszego króla, która to znajomość zdecydowała potem o karierze dworskiej poety. Hulaszcze życie nadsekańskiego gródu w krótkim czasie nadszarpięło fortunę młodzieńca do tego stopnia, iż zmuszony był opuścić wesołą Lutecję i wracać do kraju.



Dom w Piotronkach hr. Ign. Bnińskich
(z tekstu „Leona“).

Poniatowski już był wtedy królem, dzięki więc wspomnieniom paryskim, w krótkim czasie uzyskał Trembecki wstęp na dwór, a wrodzony spryt i układność wwiody go rychło w kółko najbliższych przyjaciół króla. Znajdując się tu raz na pokojach w zamku w dzień słynnych obiadów czwartkowych, poeta nie opuścił sali w czasie przepisanej etykiety. Na uwagę zaś uczynioną mu, iż powinien odejść, odpowiedział

pytaniem: „Kto będzie dziś siedział u stołu?“ — i gdy wśród osób wyluczanych posłyszał nazwisko marszałka Lubomirskiego, zwanego powszechnie z racji zamiłowania do francuzczyzny „Grand maître'em“, odparł: „jeżeli jest miejsce dla pana „Grand maître'a“, czemuż by taki *petit-maître* jak ja, nie mógł się tam znajdować“.

Króla, gdy mu powtórzono słowa Trembeckiego, bardzo ubawił dowcip i odtąd poecie kazano stale bywać na czwartkach. Między panującym a dworzaninem-poetą nawiązał się stosunek uzewnętrzniiony nie tylko w służbie Trembeckiego, lecz i w utworach, w których czuć, że autor „Portretu Kiopka, szpica faworytnego króla Stanisława Augusta“ na swój sposób kochał swego władcę.

Czy dola szczęśna czy skołatana,
Przez dzikie ludów narowy,
Ten, zawsze strzegąc stóp swego pana,
Żywot dać przy nich gotowy.
Z równością myśli wszystko to znosi,
Co zdarza dola niebieska,
Służy najwierniej, o nic nie prosi: —
Mój że to obraz, czy pieska?

W wierszu tym właściwy wszystkim ówczesnym nadwornym poetom serwilizm wtapia się w pewien sentyment względem osoby królewskiej; wprawdzie

jest w nim sporo zbytecznej uniżoności, lecz uczucie przeważa. Że Trembecki nie był tylko dworakiem płaszczącym się przed możnemi tego świata, dowodem list do Józefa Poniatowskiego z racji następującej. Po abdykacji Stanisława Augusta udał się poeta z nim do Petersburga i tu pozostawał do r. 1798-go, to jest do czasu śmierci króla. Poniatowski w testamencie swym pozostawił legat, zapisując Trembeckiemu tysiąc dukatów. Spadkobierca generalny ks. Józef Poniatowski nie tylko nie kwapi się z zadostyczynieniem zmarłego woli, lecz nawet złośliwie wyraził swój pogląd na stosunek poety do króla, mówiąc: „wiem tylko tyle, że Waszmość dla króla robił wiersze“, — na co urażony Trembecki listem odpowiedział, gdzie między innymi pisze:

Moneigneur!

Stylu do mnie użytego nie przewidziałem i nie mogłem się spodziewać. Kiedy komu dystygowane ciągle oświadczają względy, jest w tem trochę *barbarzyństwa*, chcieć rozmyślnie takowe serca odpychać i *obrażać*...

Żeby (książe) o mnie błędnej nie miał opinii, obiecuję mu i niechybnie dotrzymam, iż jeżeli przypadkiem... tę kwotę mi przysądzi, tegoż samego dnia, którego się jej dotknę, *rozdam ją na uboższych odemnie*, aby prosili Boga, żeby

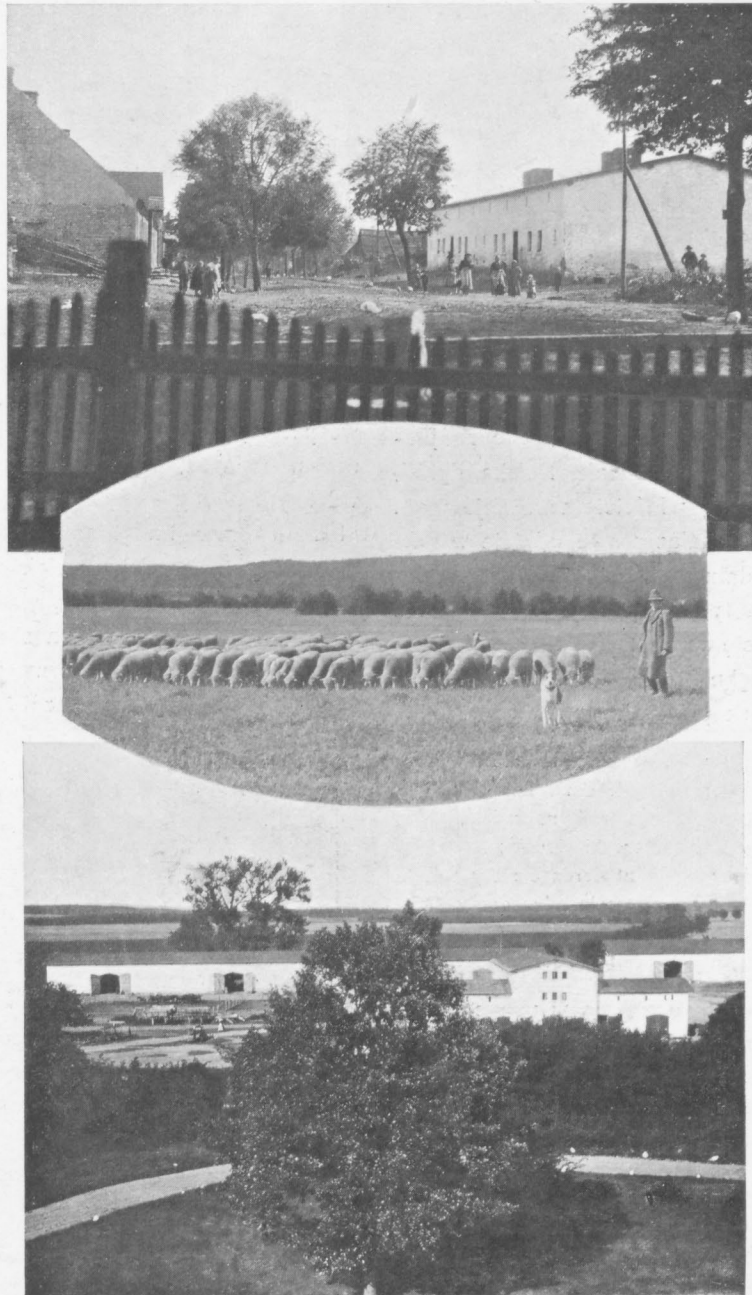
on tym, którym znakomite zwykł dawać męstwo, wszelkich także innych udzielił darów...

Były niegdyś wieki *tak grube, tak ciemne*, w których rozumiano, iż człowiek umiejący czytać albo pisać, niewieściuch jest i do niczego więcej zdać się nie może. W naszych czasach inne

jest zdanie... Zostaje mi najpokorniej suplikaować o jedną łaskę i już nigdy więcej o żadną inną, a ta jest: *aby książę wszelkiego do mnie pisywania łaskawie przestać raczył na zawsze, gdyż to mogłoby mnie uczynić nieszczęśliwszym, niż dotąd jestem; co byłoby przeciw wspólności i słuszności*“

Słów powyższych nie mógłby napisać człowiek mający istotny serwilizm w charakterze. List do Józefa Poniatowskiego rzuca jasne światło na poetę, rysuje go nam w linjach pewnych nawet ostrych. Odprawa dana siostrzeńcowi króla nie da się pogodzić z zarzucaną Trembeckiemu przez niektórych biografów uniżonością względem możnych.

Po śmierci Stanisława Augusta autor „Powązek“ rezygnuje z ofiarowywanej mu przez cesarza Pawła posady bibliotekarza w Petersburgu, wraca do kraju, gdzie osiada w dobrach Adama Czartoryskiego zaproszony przez tegoż. Wkrótce jednak, bo w roku 1802-im prze-



Piotronki hr. Ign. Bnińskich.
Zabudowania dworskie, mieszkania dla służby. Owce. Podwórze.



Krysowice-Galicja. Włas. hr. Stadnickiego (fot. hr. M. Chołoniewskiej).

nosi się do Tulczyna, majątku Szczęsnego Potockiego, gdzie bawi kilka lat. W Tulczynie znajdował się słynny podówczas na całą Polskę ogród, zwany od imienia żony właściciela „Zofjówką“. Piękności tego ogrodu znalazły swe odbicie w najsłynniejszym do dziś dnia poemacie poety p. t. „Zofjówka“. W utworze tym galanterja i dworskość poety skryształizowała się w apostrofie do żony Szczęsnego Potockiego, pięknej greczynki, dla której li głównie ów cudny park powstał.

Lecz to miejsce Zofjo więcej zdobisz sama,
Podobniejsza niebiankom, niż córkom Adama.
Ciebie tu spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić,
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić;
Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty
Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty.
A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata czcić cię będzie, drugie pół zazdrościć.

Po wyjeździe z Tulczyna zaszła w usposobieniu poety i w jego stosunkach do ludzi zmiana wielka. Ów salonowiec, czciciel pięknych kobiet, wytworny dowcipniś i polemista, stetryczał, odsunął się zupełnie od towarzystwa, całe dni przepędzał w pokoju „małego dworku“ przy ulicy Podwale w Warszawie, wreszcie zdzieciniał nieomal i w zapomnieniu od wszystkich, krom autora „Fircyka w zalotach“ Zabłockiego, umarł w listopadzie 1812-go roku.

* * *

Trembeckiemu krytyka zawsze przyznawała talent niepospolity. Z współczesnych Naruszewicz naprzykład, nazywał zawsze autora „Balonu“ — *orłem*, siebie zaś przy nim *pracowitym wolikiem*. Franciszek Wężyk w poemacie pt. t. „Okolice Krakowa“ inwokuje do Trembeckiego:

... ty, którego pisma

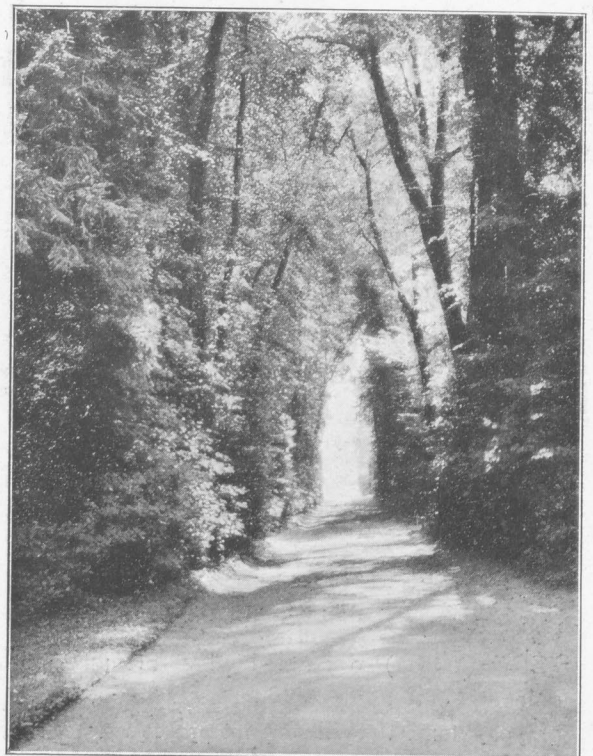
Brzmia dźwiękiem gieniuszu wyższego natchnienia,
Ty mnie wesprzyj Trembecki.

Ciebie z samym Pindarem w jednym kładę rzędzie,
Nie masz tobie równego i długo nie będzie.

Alojzego Felińskiego głównie zachwycają
forma i rymy poety:

Szczęśliwy genjuszu i dowcipie rzadki,
Który toczysz bez pracy wiersz ważny i gładki,
Któremu są otwarte wszystkie skarby Feba,
Ty, co znasz, jako wiele na wiersz dobry trzeba,
Przywódczo trudnej sztuki, w której się ćwiczymy,
Powiedz proszę Trembecki, z kąd ty bierzesz rymy?
Zdają się być posłuszne twemu rozkazowi;
Nigdy cię w twoim biegu rym nie zastanowi,
Nigdy twojej łatwości nie krępuje sztuka,
Zda się, że nie ty rymu, lecz rym ciebie szuka.

Kazimierz Brodziński lapidarnie charakteryzuje istotę organizacji twórczej Trembeckiego: „miał on wszystkie przymioty, któremi natura i sztuka rzadko razem obdarza, a bez których trudno zostać prawdziwym poetą, — żywa, a spokojna, daleka od dziwnych utworów imaginacja, rozsądek męski, który przecież nie gardzi wdziękami dowcipu, erudycja wyczerpana z dziejów świata i tajemnic natury, która jednak nie obciąża skrzydeł w swobodnem bujaniu genjusza, wytworny wreszcie smak, który zawsze woli męską energję zamiast pieściwości, otóż co w nim charakteryzuje rzadkiego poetę“.



Krysowice. Aleja w parku. (fot. hr. M. Chołoniewskiej).

Sam Mickiewicz nazywa go najznakomitszym klasykiem, pisarzem najbieglejszym, najbardziej skończonym, największym poetą doby Stanisława Augusta. Twórca „Dziadów” umiał Trembeckiego na pamięć prawie, w utworach wielkiego romantyka, znajdujemy powielekroć nie tylko wpływy, ale i ich potwierdzenie. „Kartofel” naprzykład, poemat heroikomiczny rozpoczyna się dwuwierszem:

O ziemię nowogródzka, kraju mój rodzimy,
O, Trembeckiego godzinie opiewania rymy...

Mickiewicz napisał w r. 1822-im objaśnienia do „Zofjówki”, chciał poemat Trembeckiego przełożyć na łacinę, rozpoczął nawet przekład:

Delectans oculos opibus, ditissima frugum,
Irrorata melle et vivis lactantibus, salve!

W „Panu Tadeuszu” skonstatować można nawet dosłowne transkrypcje z „Zofjówki”, mianowicie:

Kto krajów tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczył Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu przebywał bezdroże,
Jeszcze i w Zofjówce zachwycać się może...
(„Zofjówka”).

... O szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
Wy klasyczne Tyburu spadające wody,
I straszne Pauzylipu skaliste bezdroże...
(„Pan Tadeusz” — księga III a).



Krysowice. Wejście do t. zw. Pawilonu (fot. hr. M. Chołoniewskiej).



Krysowice. Pałac od strony parku. (fot. hr. M. Chołoniewskiej).

Fragment powyższy, choćby nawet utworzony podświadomie, dowodzi jednak silnego wpływu Trembeckiego na Mickiewicza, czego zresztą potwierdzenie dał sam autor „Wallenroda” w swych wykładach o literaturach słowiańskich w „Collège de France”. „Największy” romantyk stawiał „najznakomitszego” klasyka narówni z Kochanowskim i Skargą.

Krytyka w poglądach swych na Stanisława Trembeckiego do doby ostatniej pozostała bez zmiany. Wystarcza w tej mierze przerzucić choćby studia Lucjana Siemieńskiego i Biegeleisena. Z poszczególnych linii narzuconych przez powyższych pisarzy wytwarza się tak wyraźny rysunek cech talentu Trembeckiego, iż do tej zbiorowej definicji zaiste nic nowego dorzucić się nie da.

* * *

Trembecki nie dbał o sławę, nawet nie chodziło mu o podpisywanie swych utworów, ani o ich publikację, darowywał często swe prace innym, rozpoczęte zwłaszcza. Tak „Sierotę Chińskiego”, tragedję naśladowaną z Woltera po pierwszym akcie darował Radowidzkiemu, który dorobiwszy akty pozostałe, opublikował całość jako własną. Zdarzało się, że Trembecki nie tylko o tytule, ale i o samym fakcie napisania utworu zapominał, lubił też podpisywać się cudzem albo wymyślonym nazwiskiem: Bielawski, Azarycz, Marewicz, l'abbé Nonnote. Bielawski istniał rzeczywiście, był to lichy rymopis, „fligeladjutant” buławy wielkiej księstwa Litewskiego. W dzień otwarcia Teatru Narodowego 19 listopada 1765 r. odegrano w braku lepszego utworu, a głównie z racji życzenia królewskiego, komedję Bielawskiego p. t. „Natręci”, która okazała się na-



Dom w Kroczewie pp. Józefowstwa Czarnowskich
(zdjęcie p. Józefowej Czarnowskiej).

stępnie nędznym plagiatem z Molièra. Owoż pod nazwiskiem ośmieszzonego Bielawskiego, Trembecki zwykł był polemizować z Węgierskim. Do tego stopnia niedbał najznakomitszy klasyk o swoje utwory, iż z wyjątkiem niewielu o treści pojemniejszej, większa część ulotnych przypisywana była innym poetom ówczesnym i odwrotnie. Dopiero badania krytyki naukowej późniejszej rozgraniczyły właściwie te dwie kategorie, aczkolwiek po dziś dzień pracę tę za ukończoną uważać nie można. Z tej też racji dokładna monografia autora „Polanki“, jak również wyczerpująca bibliografia jego utworów czeka na swego wykonawcę. Może obecny jubileusz przyczyni się do tego, by Stanisław Trembecki stanął przed potomnością w całym pięknie swego talentu.

Na zakończenie przypominam jeden z wierszy poety, Anakreontyk ulotny a pełny nieznanego przed Trembeckim wykwintu formy, gracji i lekkości figlarnego tonu.

PRZY ODEBRANIU CZARY WINA
Z PIĘKNYCH RĄCZEK.

O, wdzięków zbiory,
Piękności wzory,
Panie, królowe, boginie!
Niech wasze oko
Sięga głęboko
Nie sądząc gracza po minie.

Włos mi ubielił
I twarz podzielił
Srogі czas w różne zagony;
Lecz za tę szkodę
Dał mi w nagrodę
Serdeczny zapal zwiększony.

Tak Hekla siwa
Śniegiem przykrywa
Swoje ogniste pieczary;
Wierch ma pod lodem,
Zielona spodem
I wieczne karmi pożary.

Płyn mi w potoku
Bachowy soku
Ręką przelany życziwą,
Gdy na cześć waszę,
Pełnię tą czaszę,
Przygaszam ogień oliwą.

KAZIMIERZ WROCYŃSKI.



Dom w Gnojnikach (fot. M. Dębskiej).



Dwór w Ożeninie na Wołyniu.



Widok z puszczy „Wodicy”— pod Kijowem.

WIERZĘ!

I.

Wierzę, że dla mnie słońce nie zabłyśnie,
że nie zakwitną dla mnie wonne kwiaty,
każdy pod stopy zwiędły kwiat mi ciśnię,
wierzę, że dla mnie słońce nie zabłyśnie...

Wierzę, że dla mnie nie zabłysną zorze,
takie stubarwne, piękne, purpurowe,
wierzę, że nie mnie się pokłoni zboże...
wierzę, że dla mnie nie zabłysną zorze...

II.

Wierzę, że dla mnie noce te wichrowe,
te krople deszczu, co mi biegą w ślepie,
chmury, co zda się spaść chcą na mą głowę,
wierzę, że dla mnie noce te wichrowe...

Wierzę, że dla mnie wicher na dworze wyje,
strąca pożółkłe dla mnie z drzewek liście,
dla mnie się słońce za chmurami kryje,
wierzę, że dla mnie wicher na dworze wyje...

JULJUSZ DZIĘCIOŁOWSKI.

STANĘ PRZED TOBĄ...

I znów stanę przed tobą, jak bōży
Poseł z wieścią, wystany od Pana,
Że na wieki tyś jedna wybrana,
Że tak społem iść będziemy ku zorzy

Aż w dalekość lazuru wpłyniemy,
Po dniach trudu i męki, i znoju

Do przystani odwiecznej pokoju,
Gdzie grom usnął milczący i niemy!

I tak stanę z promiennem obliczem —
Z najcenniejszym ze wszystkich swych
darów:

Z wiarą w górny lot dusz, jak ikarów,
Co wciąż w sercu goreje mi zniczem!..

Z wiarą w życie, co ongi szalały —
A dziś, w jasny dzień twego patrona,
Lśni, jak tęcza, po burzy zbudzona —
Za mgłą wspomnień przezrocza i białą...

I tak stanę nie z czarą rozkoszy,
Nie z odurzeń tchem wiosny różanem —
Jeno z uczuć płomiennych peanem,
Jako z wichrem, co chmury rozproszy

Z białej skroni, boleścią zmroczonej —
Zmiecie krwawą cierniową koronę
Z serca twego, co łzami pojone —
W żalu czarne tuli się welony!..

Lecz, jak słońcem — ócz żarem wyłocę
Wszystką czarność, co w kir cię odziewa —
Będą w skwarze — jak słodki cień drzewa,
I jak miesiąc w bezgwiazdne twe noce!..

Pieśnią prostą, co w duszy swej noszę,
Jako szkaplerz na piersiach obronny,
Sad wyśpiewam kwitnący, a wonny,
Co owoców da słodkie ci kosze...

Bo tak stanę z promiennem obliczem —
Z najcenniejszym ze wszystkich swych
darów:

Z wiarą w górny lot dusz, jak ikarów,
Co wciąż w sercu goreje mi zniczem!..

WŁADYSŁAW ZAŁEWSKI

PADAJĄ SIEWNE ZIARNA...

Padają złote pszeniczne i szare żytnie ziarna siewu na rozoraną pierś ziemi.

Jesienny siew..!

Po szerokich i długich prostokątach pól folwarcznych suną siewniki rządowe szybko, cicho, dokładnie sypiąc sznurki ziarna w równo uwleczoną, pulchną, do trudu rodnego znów gotową, rolę.

Parskają wesoło konie u dyszla — na szczęście, na dobry plon!

Po wielkich, pustych ugorach, po rze-paczyskach szarych, tu i owdzie po ścierni, tam znów po spłowiałych, zrudziałych, gdzieniegdziejeszcze świeżemi wystrzałkami zieleniących się koniczyskach, chodzą pługi krajając skiby wąskie i drobne pod siew, siejąc po miedzach białe błyski z lśniących, wytartych jak srebro w ziemi lemiesz...

Tam znów włóczka.

Brony drą żelaznemi zębami wyorane skiby, wywłóczą z nich korzenie i perzowe łąciny, równają odwroty i wysypki przedsiwne. Ciężko stękają zaprzężone do nich konie — postronki od orczyków wyciągnięte jak struny w obladrach skórzanych całym ciężarem dartej na strzępy, na miałki gruz ziemi cisną na chomonto, gniotąc niem pierś końską, aż się zadyszą biedne szkapki, wyrobniki pocziwego dorobku, matki — ziemi najwierniejsze sługi.

Tam walec

żelazny, pierścieniowy, toczy się po roli zbrylonej, gniotąc wszystko, co mu pod twardą pierś popadnie. Sucho dzwoni żelazo o bryły, miądząc je w czambuł, czasem głośniejszy tylko szczęknę pierścienia o utajony w glebie polny kamień, zdradza-

jąc przed człowiekiem tę martwą i milczącą opozycję resztki pokonanej ludzką wolą skorupy ziemskiej, aż się rolnik schyli i precz, na miedzę, kamiennego odrzuci nieużytką.

Na szachownicy włościańskich gruntów wśród

żółto szarych pasków ścierni, wśród dojrziałych, brunatnych poletek koniczyn i kartofli i fioletowozielonych ogrodów kapuścianych grzeją się w ciepławych promieniach październikowego słońca długie, wąskie, ostre skiby najeżone zagony, pod siew ozimy świeżo wyorywane.

Nie widać tam wieloskibowców cało żelaznych, stare ko-

nopkowskie i wrzesińskie pługi, czasem nowszy Sucheniego, czasem tylko nowy z jarmarku z miasteczka przywieziony lemiesz zaświeci pod wytartym starym grzędzielem, za skrzypiąciami drewnianymi kółkami..! Siwy czy gniady mierzyn ciągnie co siły, razem ze starą dereszowatą kobyłą; oboje mają niewesołe miny. Żebra im wszystkie znac po bokach, a szerść tu i owdzie pociemniała od potu. Ale zrezygnowani oboje, więc filozofują.

Z tego tam konopnego sznurka na patyku, co chłop nim ciągle koło ogonów im macha, niewiele sobie robią. Skóra twarda, a bat konopny więcej chłopu dla rezonu potrzebny, niż do bicia.

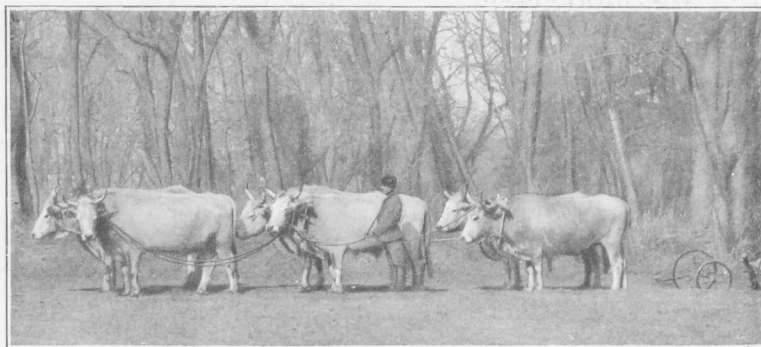
Macha nim, bo przywykł; i krzy-czeć ciągle na

szkapki swoje przywykł też wciąż: „wišta! a nuże! hetta! wiooo, beskurcyje!“ grzmi po zagonie.

A szkapięta ciągną jak mogą. Ciągną, myśląc, że wieczór bliski i że im gospodarz za tę robotę owsa w żłób sypnie.



Zwożenie gnoju w okolicy Głębokiego na Litwie, majątek H. Wińcza.



Podole. Orka pod buraki, majątek Borszczówka p. Antoniego Jaroszyńskiego.

Pelzają po zagonach zoranych brony, skacząc po darniach i bryłach, garnąc zwały perzu, aż się kurzy, pod słońko, za niemi.

A w trop idą siewacze.

Gospodarz — gospodyni czasem — przepasuje się płachtą białą z domowego płótna uszytą, szeroką, a pojemną, żeby choć ze ćwierć ziarna nasuć w nią można, skoro się mocno, na węzeł, na plecach zwiąże — przyklęka przed workiem na uwrociach, wywiezionym z pszenicą czy z żytem, nabiera ziarna i od końca zachodzi na zagon do siewu.

Kroczy zwolna, miarowo — garścią prawą z płachty ziarno bierze i krok stawiając sieje je po roli półkolistym rzutem, dobrze palce rozszerzając, by

kwitną i rodzą owoc — dojrzałe padają pokotem pod sierpem czy kosą żniwiarza... pług po nich czyści pole dla nowego życia, co z dłoni siewacza pada znów na wiekuiętą jego kolebkę, ziemię...

I rok po roku kryje śnieg tę nadzieję życia.

Rok po roku odrasta ona znów po to by ją wypalało słońce, wytrząsał wicher, młócił grad, zabierała woda, by ją rozgryzał owad polny lub niszczyła wiatrem przygnana jakaś zaraza — i przez tyle lat w długim ich od początku świata szeregu okrucy tylko, resztki tej nadziei, jako zebrany plon do człowieka wracają. Czasem część, czasem połowa, czasem uda się niewiele tylko na ofiarę losu stracić — raz na parę zaledwie lat obfity, pełny



Widok ze wsi Jabłonówka.



Widok z okolicy historycznej wsi „Mazepińce“.

równy ziarna padały na cały pasek gruntu przed sobą. Skoro prawa stopa krok stawia, ziarna z garści padają, skoro lewa noga posuwa się naprzód — garść ziarno z płachty czerpie i do rzutu się cofa.

Lecą ziarna...

Z mocnej garści siewacza śmigle rzucone rozbijają się wachlarzem w powietrzu i na czarną rolę padają ulegle... za chwilę je brona ziemią miłąką przykryje... jutro w łonie chlebobdajnej gleby zacznie się nowy proces życia, nowa praca na przyszłe dni i lata... jedno więcej ogniwo w nieskończonej kolei życia niezniszczalnej materji wszechświata...

* * *

Mijają dni i płyną lata, przechodzą pory roku... z pod stopniałych śniegów i odtajalego pod tchnieniem wiosny lodu dobywają się zielone źdźbła — grzeją się w słońcu i rosą w łodygi strzeliste —



Z okolic Białej Cerkwi (fot. p. Teofil Gliwiński).

plon za trudy rolnicze płaci.

Ziemia rodzi, ale człowiek niezawsze wszystko co urodzi, zbiera.

Ale mimo to — sieje zawsze. I nigdy nie żałuje trudu.

Bo wierzy.

Tyłu siewaczy przeszło już po ugorach życia naszego!

Tyle myśli, ofiar, znoju ciężkiego, poświęceń, bólu i krwi poszło już na użyźnienie go — a plony nikłe do dziś...

Co dnia ludzie rzucają na tego życia zagony ziarno swoich prac i nadziei i co dnia czeźnie z tego posiewu tyle...

I co dnia przed zmęczonemi, znużonemi duchami ludzkimi staje dręczące pytanie: czy warto dalej siać...?

Niechże ci, co nie umieją znaleźć odpowiedzi na tę wątpliwość, wyjdą na czarne, zorane pole, niechaj

spojrzą na wiejskich siewaczy! Niech się napatrzą ich wiekuiestej robocie!

Może wówczas zdołają pojąć, że zadaniem życia nie jest wątpienie, jeno wiara... że skor osię życie wzięło, trzeba je dawać, że choćby sto posiewów splókała fala, wierzyć trzeba, że setny pierwszy wszędzie zieloną runią oziminy i że czasu lata w pełnych kłosach dojrzeje...

SZUMILAS.



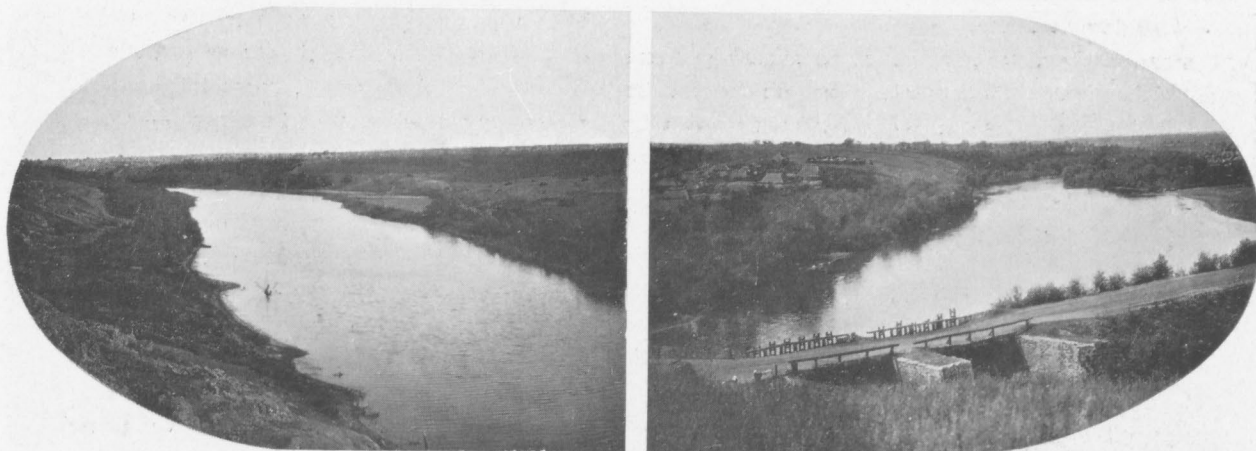
Dawny przyrząd do rznienia słomy dla bydła na sieczkę w okolicach Głębokiego na Litwie; majątek p. H. Wińcza.

SEN O ZIEMI.

W Imię Ojca i Syna! Koniec już mej drogi,
Rój wspomnień z lat dziecięcych zcicha mnie otacza:
Otom przypadł pod ojców mych prześwięte progi,
Rozgarniając pył szary rękami tułacza.
Widzę cię, o rodzinna wiosko, ty jedyna,
Co w śpichrzach swoich chowasz życiodajne zboże,
O ziemio ukochana, przytul swego syna,
Gdy dłużej już w tęsknocie on wytrwać nie może!

W Imię Ojca i Syna! Przez ból i przez biedę,
Która pierś moją zarta w życia zawierusze —
Dziś do ciebie, wsi moja, z utęsknieniem idę,
Bo wiem o tem, że biedną ukolyszysz duszę. —
Kłękam kornie na progu modrzewiowej chaty,
Okiem łzą nasiąkniętem lube witam kąty;
Wszystko tu tak, jak było przed dawnymi laty,
Jeno że się dach ugiął i porosły gonty.
Sad ten niby, a jednak jakby inny nieco:
Brak w nim blasku, co igrał wśród barwnych złocieni
I liście z drżących krzewów z cichym szmerem lecą,
Zaścielając próg chaty całunem jesieni. —
Niegdyś ścieżki gładzone, dziś porosły trawą,
Trudno dociec skąd każda swój początek bierze;
W głębi brzozy płaczące, rozszemrane łzawo,
Zda się szepcą wsi polskiej codzienne pacierze. —
Witam cię, dniu wspomnień o sielskiej młodości,
Któż ciebie nie uwielbia i kto cię nie kocha!
Dwór cichy w swoich progach druha swego gości,
Siadam tu na tej przyźbie, by wypocząć trocha.
Sen mnie morzy przedziwny, kładąc na powieki
Dłoń tkliwą... Ach, już czuję, że się ślaniam cały!
Jakże radbym w cnej chacie śnić bodaj przez wieki
O rycerskiej przeszłości i dniach pełnych chwały...

Jestem, matko, przy tobie. Czuję że mi płonie
Dusza barwą obrazów rozpylonych w tęczy.
Widząc twoje oblicze, zcicha składam dłonie;
Snujemy baśni słoneczne; syn u nóg twych klęczy.
Patrz, matuś, hen na drodze jakoweś tumany,
Niby siną mgłę niesie wiatr od strony jaru, —
Hymn bije pod niebiosy, sercu nazbyt znany...
Hej! jadą drogą! jadą! z pieśnią pełną czaru!
W Imię Ojca i Syna! Z przylesnej zieleni
Płynie fala złocista, jakby kłosne zboże, —
Od bajecznej barw wstęgi, aż się w oczach mieni,
Dwór cały drży rozgwarem powitań: Szczęść Boże!
Echo pieśni prastarej przenika wokoło,
Siejąc w serca nadzieję na zbożne świtanie;
Rodzic rozwarł ramiona, na śnieżne zaś czoło
Nimb upadł. Słychać modły: Pobłogostaw Panie!
Ty, Stwórco, patrzysz na to jak myśl okrwawiona
Kładzie rany duchowe na cierpienia grobie, —
Ty słyszysz jęk tajony ten, co rwie się z łona —
Ponad błękit tajemny, tam, Chryste, ku Tobie!
Ty czujesz przecież, Panie, ból naszego ducha,
Gdy czytasz w sercach ludu myśli promieniste.
Czyliż skargi serdecznej nikt już nie wysłucha?
I nie otrze łez żalu?! Odpowiedz nam Chryste!
A zdali poprzez wrota wiekowej świątyni
Bije promień złocisty, jakby odbłask słońca;
Do głębi poruszony lud znak krzyża czyni
I słowa „Święty Boże“ grzmiają z piersi tysięcy.



Brzegi rzeki Jatroń koło wsi Lebedynki i Tabarowej.
(*fol. Cz. Dobrowolski*).

Starowina, ksiądz siwy, na mównicę wchodzi,
Cichnie pieśń i mdlejącym akordem wdał leci:
Do was zwracam przemowę, o słuchacze młodzi,
Do was zwracam przemowę, o słuchacze młodzi,
W Imię Ojca i Syna! Wśród nadziei — wiary —
Ucałujcie krzyż Pana ustami drżącemi, —
Z krwi serca młodzieńczego czyniwszy ofiary,
Spełniacie obowiązki Synów matki ziemi.
Naprzód z wiarą! na życia ból ciężki a srogi!
Szlachetnym synom ziemi pobłogosław Boże!
Choć losu przeciwności okrwawia wam nogi
I choć w myśli się wkradnie zwątpienia cień może, —
Błyśnie świat!.. Wtem głos starca łamie się wśród głuszy,
Kza splywa z lic pobladyłch wśród mównicy proga...
Cisza wokół zaległa, bo każdy czuł w duszy
Że się czyni ofiara, tu — w obliczu Boga...
Poszedł szept po świątyni, barwna tłumy wstęga
Żyła jednym uczuciem, — zgodnem serca
biciem
I padła z ust tysięcy najświętsza przy-
sięga,
Co się z ducha poczyną — umiera wraz
z życiem!
Drgnęła ziemia, jak gdyby poczuła w swem
łonie,
Że dłoń słabnie ta, która jej synów zbyt
gniecie,
A starzec błogosławił, stojąc na ambonie,
Znakiem krzyża lud żegnał i płakał jak
dziecię. —
Matko moja, ach, powiedz, czy są takie
chwile,
Coby mogły się równać z tą chwilą je-
dyną?!
Gdy w takt zgody przedziwnej bić może
serc tyle,
Gdy wzruszenia łązy czyste przed tron
Boga płyną!

Matuś droga... co widzę... oto i w twym oku,
Przepojonem wzruszeniem, lśni łąza kryształowa
I splywa jak kwiat smutku w łąz bratnim potoku,
Sen przeszłości przemija... O matko, bądź zdrowa!

Wiosko moja dzisiejsza, znów cię widzę oto
I tę chatę z modrzewiu, co śni pochylona
O świętej ojców dobie... Sen splywa z tęsknotą,
Na wzrok duszy upada ukojeń zasługa...
Żegnam cię! ubóstwiana! mam nadzieję jeszcze,
Że wyśnionych powitań zabrzmią moje słowa;
Przytulę cię do piersi, najszczerzej upieszczę!
Do jasnego rozświetu! Wsi moja — bądź zdrowa!..

STANISŁAW ŻYŻKOWSKI.



Brzegi rzeki Jatroń koło wsi Lebedynki i Tabarowej
(*fol. Czesław Dobrowolski*).



Przed gonitwą w Równem (fot. Saryusz Wolski).

SPORT NA PROWINCJI.

Pisząc przed dwoma laty we „Wsi Ilustrowanej“ z racji warszawskich konkursów hipicznych o rozwoju sportu jeździeckiego u nas, wyrazić musiałem zdziwienie, że tak niewielu tego sportu adeptów oglądamy w Warszawie.

Równocześnie prawie jedno z pism codziennych warszawskich zamieszczając sprawozdanie z tych konkursów z małej frekwencji jeźdźców cywilnych na ten meeting wyciągnęło wniosek, że sport jeździecki jest u nas zupełnie w zaniedbaniu.

Na razie trudno było to przypuszczenie odeprzeć, dziś jednak uzbierało się już dość faktów, by można

śmiało twierdzić, iż jeździectwo nasze nie upada bynajmniej, a nawet jako rezultat sportowy ostatnich czasów, w porównaniu zwłaszcza z okresem dawniejszym — zaczyna się rozwijać.

Dowodem najlepszym wyścigi i konkursy prowincjonalne. W królestwie Lublin, Radom, Piotrków, Łódź mają swoje dobre tory, stajnie i — *gentlemanriderów*.

A konkursy hipiczne odbywają się już dziś w Piotrkowie, Pułtusku, w Sandomierskiem, a poza Królestwem w Płoskirowie, Ró-



„Danusia I“. Klacz br. kasztanowata 5 letnia ze stada koni półkrewi p. Czesława Baczyńskiego w Śmiłowie—własność p. Sergjusza Niemojewskiego z Włoszczowej (fot. Saryusz Wolski).



Bieg myśliwski za mastrem w Radomiu (fot. Saryusz Wolski).

wnem. I są to meetingi zupełnie udane, zgromadzające i jeźdźców i koni sporo, świadczące programami swemi nie tylko o dobrych chęciach i kompetencji organizatorów, ale i o istnieniu dostatecznego na ilość i ważkiego już na jakość materiału sportowego w bliższej i dalszej okolicy.

W końcu sierpnia odbywały się np. wyścigi dwudniowe w Radomiu. W gonitwach dżentelmeńskich brało udział czternastu jeźdźców cywilnych, a mianowicie: S. Niemojewski, A. hr. Wielopolski, J. Bronikowski, L. ks. Sapieha, B. Peretjatkowicz, J. hr. Plater, K. Łaszcz, E. Kurnatowski, A. hr. Morsztyn, W. hr. Komorowski, T. Wołoszewski, J. Lewandowski, G. Ośniałowski i jako master w biegu myśliwskim J. hr. Tarnowski.

W tem pokaznym polu dżentelmeńskim widzimy kilka nazwisk zupełnie nowych, wskazujących wyraźnie, że zamięłowanie do sportu jeździeckiego krzewi się wśród naszej wiejskiej młodzie-

ży znowu poważnie. Meeting radomski trwał właściwie cztery dni; w przerwach między wyścigami urządzano *cross country* i inne popisy jeździeckie, a liczne i dobrane towarzystwo, jakie ten meeting zgromadził, dowodzi ogólnego zainteresowania się ziemian szlachetnym sportem konnym.

Do szeregu wymienionych powyżej gentleman-riderów, dorzucił jeszcze parę nazwisk meeting piotrkowski, zakończony w początkach września.



„Janczar” wałach kasztanowaty 5 letni ze stada koni półkrwi. Czesława Baczyńskiego w Śmiłowie, własność Stanisława hr. Czackiego z Porycka (fot. Saryusz Wolski).

Materiał koński spotykany na prowincjonalnych meetingach coraz też szlachetniejszym i lepszym przy starannej hodowli się staje. Takie stajnie jak M. ks. Radziwiłła, A. Budnego, A. Kosińskiego, S. Niemojewskiego, A. hr. Morsztyna, S. hr. Moszyńskiego, M. hr. Komorowskiego, W. Wężyka, to już wysoka krew prowincjonalna, która nierzadko staje w szrankach warszawskich do walki z pełną i nawet ją bije. Hodowla pół krwi w tych właśnie wyścigowych i konkursowych próbach najlepszy sprawdzian swej wartości znajduje. Celem jej musi zawsze być przedewszyst-



Z toru Radomskiego. Finisz, zwycięzca p. Kurnatowski.—U góry grupa sportsmanów.

Brali w nim czynny udział pp.: T. Dachowski, J. hr. Skarbek, S. Kindler, St. Rohland, J. Żocowski i p. Bławdziewicz, prócz jeźdźców znanych już z Radomia. Dość zestawzić te dwa meetingi w sąsiadujących ze sobą guberniach, aby przekonać się, że mamy już u siebie jeźdźców cywilnych. Wyrabiają się oni coraz więcej przy współdziałaniu i pomocy weteranów tego cechu, takich jeźdźców i sportsmanów jak redaktor St. Wotowski, szeroko znany hodowca, b. prezes i jego senior sandomierskiego Koła Sportowego, p. Czesław Baczyński, który mimo wieku dziarsko staje jeszcze w szranki,—Juljusz hr. Tarnowski prezes radomskiego Tow. W. R., słynny światowy jeździec konkursowy i wyścigowy, p. Tadeusz Dachowski i znany sportsman p. Sergiusz Niemojewski.

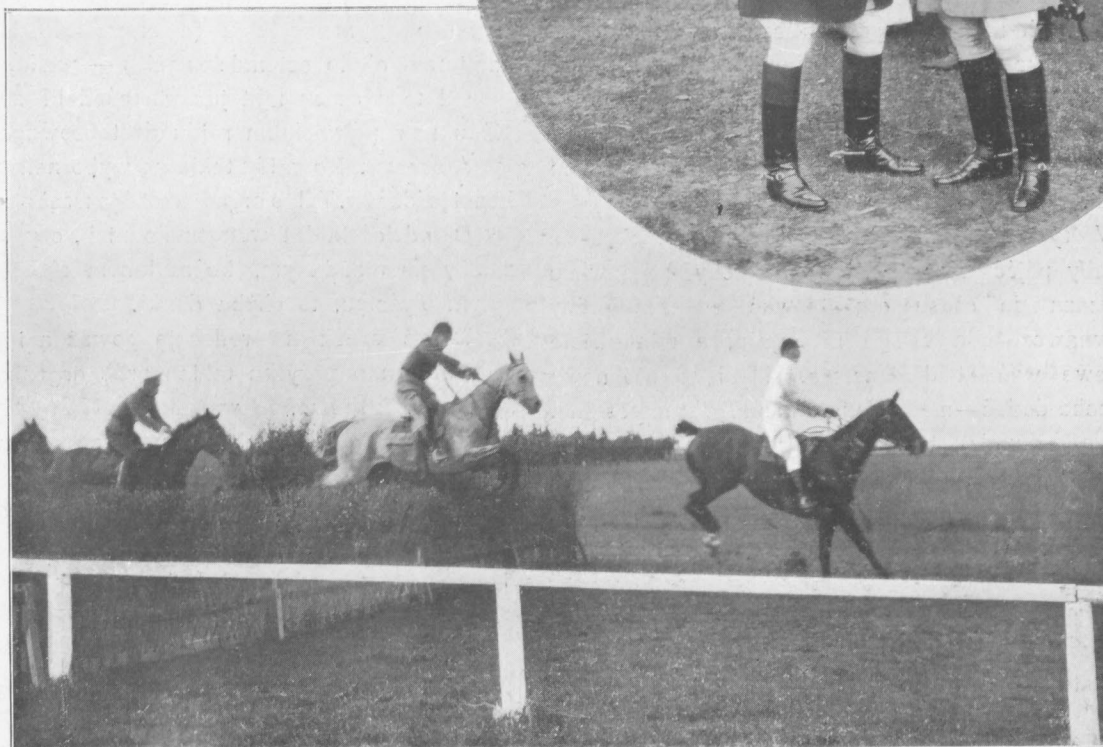
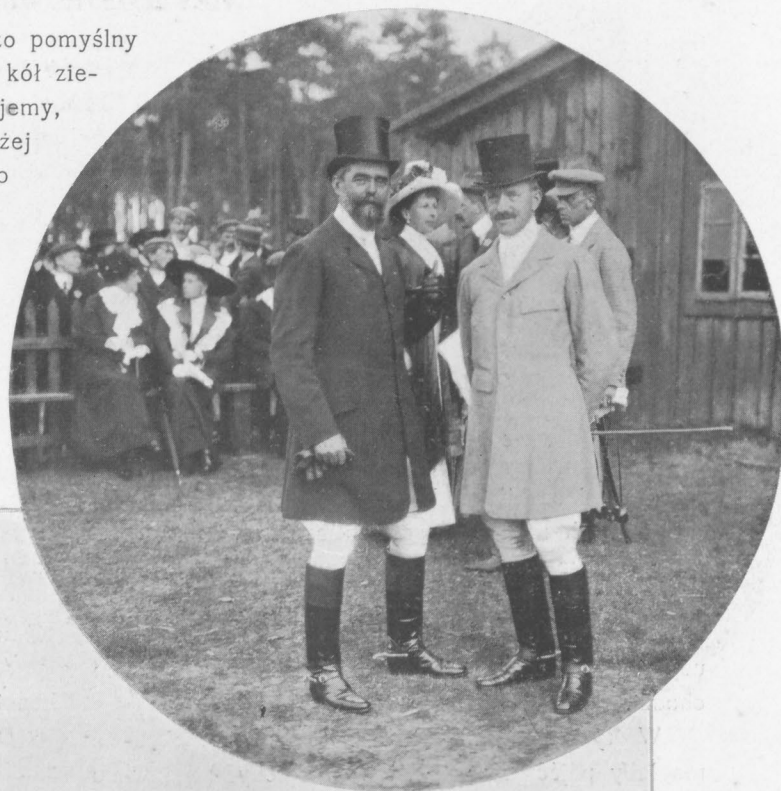
kiem produkcja szlachetnego materiału wierzchowego, nie takiego jednak który byłby przejściowym ogniwem w powolnym dążeniu do produktu klasycznego.

Dobra pół-krew musi posiadać daleko szybciej praktyczne, użytkowe zalety. Powinna ona być mniej materiałem rozplodowym, a daleko więcej skończonym użytkowym produktem. Otóż próbą i sprawdzianem tej praktycznej wartości daleko więcej są biegi myśliwskie, *cross-country* i konkursy niż same wyścigi, mające raczej wykazać hodowlaną wartość, klasę.

Dlatego rozwój popisów jeździeckich, meetingów hipicznych i powstawanie coraz to nowych prowincjonalnych Kół Sportowych, uważać należy za objaw

dla hodowli i rozwoju sportu konnego bardzo pomyślny i ze wszech miar poparcia jaknajszerszych kół ziemiańskich godny. Z przyjemnością też notujemy, iż odbyły się prócz wymienionych już wyżej w r. b. jeszcze konkursy hipiczne Pułtuskiego i Rówieńskiego Koła Sportowego, a Sandomierskie, kierowane doświadczoną i zamiłowaną pieczołowitością swego seniora C. Baczyńskiego na bieżącą właśnie chwilę zapowiada swój meeting, z którego nie omisszamy czytelnikom zdać w następstwie sprawy.

Powracając do czysto technicznych re-



1. Hr. Juljusz Tarnowski z p. Tadeuszem Dachowskim. 2. Z toru Radomskiego: p. Osmiałowski na „Venus“ prowadzi bieg.
(fot. Saryusz Wolski).

fleksji w zakresie rozwoju sportu prowincjonalnego podnieść musimy bardzo celowy obecny system układania programów dla tych prowincjonalnych meetingów.

W programach czysto wyścigowych mianowicie komisje techniczne szeroko uwzględniają gonitwy na większych dystansach, *steeple-chase'y* i wyścigi z płotami (*hurdle race*). Właśnie te próby umożliwiają dostęp do szranków wyścigowych nie tylko tym klasowym produktom, których eksploatacja ogranicza się na torze, ale i wszelkim udowodnionego, a nawet pół-udowodnionego pochodzenia koniom wierzchowym.

Jest to zachęta dla doboru coraz lepszego materiału pod wierzch, a przytem sposobność do wy-

rabiania się młodych sił jeździeckich wśród młodzieży ziemiańskiej.

Wpływu takich programów na samą hodowlę niepotrzeba nawet dowodzić. Kierują one ją ku produkcji koni wytrzymałych i silnych, zatem podnoszą i wysuwają na pierwszy plan te właśnie zalety które u szlachetnej pół-krwi najwyższą mają wartość i które dadzą się u niej normalnie rozwijać bez zmiany zasadniczego, hodowlanego kierunku.

Bo szybkość u koni pół-krwi jest zdaniem mojem — drugorzędną zaletą. W najlepszym razie może ona — w pewnych wypadkach — dorównać szybkości normalnej pełnej krwi, z którą mierzy się zresztą okazyjnie ale bynajmniej nie programowo. W najgorszym zaś razie jest ona zawsze znacznie



Przed biegiem myśliwskim w Radomiu (fot. Saryusz Wolski).

wyższą od szybkości koni, pochodzenia ciemnego, hodowanych na los przypadku czy fantazji i naturalnie zawsze na krwi zimnej.

I ten rezultat wystarcza w zasadzie.

Wytrzymałość zaś i siła to warunki wartości użytkowej o którą u koni pół-krwi przedewszystkiem chodzi.

W tym kierunku jeździectwo prowincjonalne mogłoby pójść jeszcze dalej. Mogłoby mianowicie od czasu do czasu organizować większe próby porównawcze dla swego materiału, a mianowicie zbiorowe wyścigi dystansowe. Myśl to nie nowa i—trzeba dodać—niesłusznie u nas zdyskredytowana.

Przed dwudziestu mniej więcej laty wyścig taki, *raid* dystansowy, zorganizowało ówczesne Ćmielowskie Towarzystwo W. K. na dystansie Ćmielów-

naszego sportu i dotkliwe *fiasco*: połowa koni startujących w tym wyścigu (a startowało ich o ile pamiętam około osiemdziesięciu) — padła.

Od tego czasu nikt już nie ośmielił się wystąpić u nas z projektem raidu dystansowego.

A szkoda. Bo raidy takie są wybornymi próbami koni i jeźdźców. Tylko organizować je trzeba poważnie.

Dwadzieścia lat wstrętu do nich, czy sportowej żaloby po nieudanym, bo szalonym stuwiorstwowym wyścigu, to chyba dosyć.

Dosyć czasu na refleksję poważną i przyjęcie do wniosku o pożytku takich prób organizowanych sportowo, fachowo, rozważnie.

Może młode pokolenie naszych sportsmanów zwróci na ten projekt uwagę.

ECLIPSE.



Czwórka hr. A. Ledóchowskiego nagrodzona na wyścigach w Równem (fot. Saryusz Wolski).

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

W LESIE.

Każdy dzień od dłuższego czasu spędzał w lesie. Chodził drogami zarosłymi w gąszcz, przędzierał się pomiędzy splecionymi gałęziami i kładł się na długie godziny w wysokie wrzosi, które go obejmowały falą swoich traw kwitnących. Była już jesień, lśniąca złotem liści pożółkłych, pełna czerwienią paprociowych wachlarzy, rozkładających po wilgotnej ziemi swoje delikatne skrzydła, poplamione rdzą umierającego lata.

Jesień szła z uśmiechem smutnym jak echo śmierci. Z mroków gęstwiny zalatywał zapach gnijących grzybów — a w ciszy chłodnego wieczoru, hen z północy, szedł powiew srogiej zimy, przejmujący dreszczem przerażenia.

Andrzej włóczył się po lesie, stukając po pniach tęgim kijem — aż oblatywała kora — i słuchał długiego echa tych uderzeń, — ginącego gdzieś w dali nieprzeniknionej. W ciepłych dniach, kiedy słońce przygrzało plecy, aż ciepło szło po kościach, kładł się nad brzegiem małego jeziora — i patrzył w czarną wodę, okrytą na poły zieloną rzęsą. Czasami mimowoli długo, mechanicznymi ruchami omdlałej dłoni rozgrzebywał kijaszkiem nadbrzeżne szuwały, myśląc o Marcie. Jego męka zaczęła go dławić jak dłoń. Ze śmiechem pełnym ironji na poblądłych ustach, przypominał sobie, swe głupie, żakowskie zachowanie. Nędzne maniery i niezgrabne ruchy podczas rozmowy, która obejmowała jego głowę czadem wrzenia bez miary, szarpiąc serce omdlewające z zachwytu. Gdy tylko mógł, uciekał do lasu, zaszywał się w trawy i tam zdaleka od widoku jej cudnej postaci — śnił przedziwne historie zmyślane, bez sensu, naiwne jak bajki wędrownych kramarzy. Upajał się nimi jak winem. Mdlął z rozkoszy wymyślonych, czując żar jej pocałunków na swoich ustach rozmodlonych w odurzeniu miłosnem i tonął oczyma w płynących po niebie obłokach, które wszystkie jego przysięgi i westchnienia zabierały z sobą.

Tak było już od kilku miesięcy. Kiedy przyjechał, zaproszony przez starego stryja na letnie miesiące, wioził z sobą rozkosz swojej młodości, jej potęgę, jej radość i pęd bez granic niemożliwości. Z prawdziwą wdzięcznością otrzymał z rąk starego dzierżawcy porządną angielską flintę, z jakimś przesłodkiem zapewnieniem obowiązków przynoszenia zwierzyny. Bez cienia efektacji pocałował go w rękę i uściskał, choć stary pan Michał bronił się od tych dowodów radości, mając na uwadze jego lata, patent inżynierski, nowy, z wielkiem



„W puszczy“ (Inflanty). (Z tekstu I. J. Römerówien).

zainteresowaniem domowników, wyszykowany mundur, a przede wszystkim jego samego, imponującego mu tytułem i wiedzą.

Zaraz po przyjeździe i kilkunastu słowach powitania, od wszystkich krewnych i znajomych „ukłonów załączonych“ przy sposobności, zajęto miejsce za stołem na werandzie, ginącej w tym „psiakrew“ winie — jak mawiał p. Michał. Andrzej opowiadał parszając młodością — rzucając lekkie drwiny i nieszkodliwe złośliwości pod adresem osób, będących tematem rozmowy. Pani Marta sekundowała mu z radością widoczną. Jej śliczna twarz jaśniała jak w słońcu, usta się śmiały bez troski — tym śmiechem prawdziwego szczęścia, jakim jest młodość. Andrzej pił jej spojrzenia swemi spragnionymi oczyma — odurzał się głosem, wchłaniał zapach jej włosów — i czuł, że z każdym uderzeniem serca otacza go dziwny obłok słodkiego przerażenia. Lęk, jak delikatna mgła świtu pełna zapachów kwitnącej łąki, brzemienna czarem rozkoszy — opadła na duszę, otaczając mrokiem jego myśli, ściskając mu w piersiach serce, jak dłoń, zapierająca oddech, pojąc przesłodką trucizną przeczuć!

Tego samego wieczoru, niby niechcący, niby wiedzeni przecuciem, spotkali się w ogrodzie. I padły słowa wyszeptane w drzeniu. Andrzej nie wie-

dział, kiedy i dlaczego obejmował jej kolana ramionami i całował białą suknię. Czuł jakiś wewnętrzny rozkaz, któremu był posłuszny. Jej pocałunek wstrząsnął nim jak śmierć. W tej chwili zrozumieli i uczyli w całej potędze, że należą do siebie na wieczność!

Nazajutrz po obiedzie, Andrzej miał długą rozmowę w kancelarji pana Michała. Stary szlachciura zaprosił go na cygaro. Dał mu niezłego „prusaka“, wskazał ceratową otomanę, przetartą i podziurawioną w wielu miejscach — sam usiadł na fotelu „z dawnych jeszcze czasów“ i skierował na niego swoje poczciwe, jasne, jak niebo dnia pogodnego, oczy. — Cieszę się, żeś przyjechał — rzekł po chwili. Mam nadzieję, że ci będzie unas dobrzej!

Andrzej uśmiechnął się uprzejmie, nie mogąc słowa wykrztusić. Pan Michał mówił jeszcze dużo i długo, a prawie zawsze o Marcie. W jego prostych słowach dźwięczała rzewność, która przeszywała Andrzeja boleścią. Wiedział, że stary dzierzawca mówi prawdę. Kiedy, pod wpływem wynurzenia, przyznał się do miłości i do wiary w jej wierność — nie zadrzał mu głos, kiedy mówił o swojej śmierci w przeciwnym wypadku.

— Każdy musi umrzeć, a ja bym bez niej żyć nie mógł...

Nie widział twarzy Andrzeja, który pobladł gwałtownie. Chciał krzyknąć tak, żeby go cały świat usłyszał.

— A ja? A ja?..

I zaśmiał się wewnątrz siebie — i uciekł do lasu.

— A ty co? — wyszeptał między drzewami. Cóż ty? Po coś przyjechał?..

I walił kijem o pnie drzew, aż odlatywała sadz mchu — i krył się przed Martą w morzu wrzosów i traw leśnych.

Koło jeziora, w miejscu wyjątkowo dzikiem i dalekim od ludzkich mieszkań, spotykał często starego gajowego Pakułę. Pakuła miał lat ze czterdzieści, kościstą twarz i ponure spojrzenie. Siadywał na pniu zwalonej kiedyś przez piorun, starej, białej brzozy i jeżeli był w usposobieniu, mówił

przyciszonym głosem różne historie dotyczące lasu.

Raz rzekł zupełnie spokojnie.

— Pan to musi mieć jakieś wielgie zmartwienie.

— Dlaczego?

— Bo pan tylko tu przychodzi siadywać... Jak ludziom smutno, to szukają smutnych miejsc.

— A tu smutno?..

— Pewnie! — Zamyślił się i dodał po chwili dłuższego milczenia.

— Będzie ze trzy lata, jak tu w owym stawie, utopiła się jedna dziewczyna! Ładna szelma była.

Kapuścianka Wikta!.. Miała się latem zenić — no i ożeniła się ze śmiercią.

Andrzej spojrział na niego uważnie.

— To taki głęboki staw? — spytał szeptem prawie.

— Bo co?

— Bo nic...

Tak mówię.

— Na człowieka zawsze wystarczy. Byle

głowę skryć. Jak

komu źle na świecie — to spokój znajdzie i tu — i na chojaku.

Gałęź przyjmie, tylko postronek mieć, albo i pasek chochy. Mówił to posępnie, patrząc

w czarną tarczę stawu. — A wam źle? — spytał Andrzej.

Chłop spojrział na niego z podejrzliwością i mruknął niechętnie.

— Pan nie ksiądz — a dziś nie Wielganoc, spowiedzi nie trza!

— Ja też i tak pytałem — odpowiedział, siadając. — Nie chciałem słuchać żadnych tajemnic — ot tak sobie. Źle nie zawsze jest aż w takim stopniu, żeby na dnie stawu szukać śmierci... Chociaż i tak bywa.

— Bywa — wyszeptał gajowy.

Tymczasem słońce zaszło, rozlewając szarość po świecie. Mrok szedł powoli, otaczając las pajęczyną wieczoru, pełzając po zaschłych badyłach traw i krzakach jałowcowych. Wieczór zapadał cichy, chłodny, bezwietrzny. Wielki księżyc, żółty jak misa, sunął wzwyż — wypłynawszy jakgdyby z pośród gałęzi i czubów drzew szpilkowych. Zatopiony w mgłę wieczoru, niby z za delikatnego woala — rzucał swe ciche, półśladkie i smutne spojrzenia,



Chata w lesie (fot. am. Karaskiej).



Widok z ogrodu kroczeckiego (zdjęcie p. Józefowej Czarnowskiej).

jak z poza łąz. Cisza zaległa las, topniejący w martwocie nocy. Andrzej milczał, badając tylko coraz posępniejszą twarz gajowego. Nagle ten wstał i zaczął się bez słowa oddalać w głąb lasu.

— Dokąd pan idziesz, panie Pakuła? — zapytał Andrzej zdziwiony.

Gajowy przystanął i spojrzał mu prosto w twarz, prawie nie poznając.

— Co?

— Dokąd pan idziesz?

— We świat!

— Tak nagle?

Chłop oparł się na lufie swej flinty i utkwiał swoje zimne, szare oczy w twarz Andrzeja.

— A panu co do tego, gdzie ja ide? — rzekł zduszonym głosem. Ide gdzie chce. — A panu wara!.. Możeś sam taki, jak i oni, psi syn sobaczy!.. Chcesz, to ci powiem! Tam wedle trzech dębów chałupa stoi... Idź! Babę będziesz miał jak złoto! Idź zaraz, ona czeka na młodego — rozumiesz mnie pan!.. Czeka!..

Andrzej pobił gwałtownie.

— Panie Pakuła — wymamrotał, — co pan wygaduje?

— Co? Gajowy zaśmiał się cicho, boleśnie. Podszedł do niego i chwycił go krzepko za gardło. Jego krzywe palce ścisnęły się kurczowo, mocno, dławiająco. Przynął twarz do twarzy i plunął prosto w oczy straszliwe wyrazy:

— Idź do Martusi... pani dziedziczka czeka w komorze, a pan Michał jak pies biega po polach. Idź! — Zachichotał jakimś straszliwym szczekiem i odepchnął go od siebie.

Andrzej zatoczył się jak pijany.

— Jak śmiesz... ty bydle... — wycharczał z wście-

kłością. I nie bacząc na nic, wsadził rękę do kieszeni. Namacał chłodną stal rewolweru — i wyjął.

Ale gajowego już nie było. Utonął w krzakach gęstych i mrocznych, objętych już nocą nieprzejrzaną — i cisza otoczyła Andrzeja swym chłodnym oddechem. Stał chwilę, nadsłuchując. Nic nie przerywało nocy letniej. Księżyc przeglądał się w czarnej głębi jeziora i chwiały się lekko nadbrzeżne murawy.

Andrzej usiadł na pniu brzozy. Słowa gajowego, zuchwałe i sprawiedliwe, chłasnęły go jak batem przez twarz. Teraz rozumiał, że ich ukryta miłość jest wiadoma wszystkim. Nie ukryli płomienia, który obejmował ich serca jednym wzruszeniem bez miary i nie skłámali obojętności. „Wszyscy wiedzą“ — powtórzył

w przerażeniu, — „a pan Michał jak pies biega po polach“...

Wstał z mocnym postanowieniem.

— Jutro wyjadę — i aż zatoczył się pod wpływem tych prostych wyrazów „wyjadę“. Jak na zapowiedź straszego nieszczęścia, serce zapłakało w bólu, „wyjadę“ — zapłakały usta drżące. Załamał ręce, aż kości chrupnęły i powtórzył z mocą, błądy śmiertelnie, — „wyjadę“.



Kroczevo. Na stawie — łowienie ryb (zdjęcie p. Józefowej Czarnowskiej).

Rzucił się w gąszcz, przedarł do drogi i szedł ku domowi. Księżyc świecił coraz jaśniej, zimniej, lejąc strugi srebrnego światła, rzucając tajemnicze, wydłużone cienie od drzew. Nagle Andrzej przystanął i uczył, że włosy powstają mu na głowie. Kolana ugięły się pod nim z przerażenia bez granic, które

ścisnęło go za gardło i zatamowało oddech... Na niskiej gałęzi chojaka wisiał człowiek. Andrzej bez trudu, a jeszcze z większym przestraszonym, poznał w wiszącym bezwładnie trupie wisielca, starego gajowego.

Zatrząsał się i rzucił do ucieczki.

Biegł jak szalony, odgarniając po drodze gałęzie drzew, które orały mu twarz krwawymi strugami i szarpały ubranie.

Wreszcie potknął się i upadł. Oprzytomniał. Wstał trochę uspokojony i obejrzał się z lękiem.

Pakuła wisiał nieruchomo z nogami wydłużonymi, z palcami nóg błagalnie wyciągniętymi ku ziemi.

Właśnie w tej chwili księżyc patrzył mu prosto w twarz i Andrzej zobaczył wywalony jęzor — błyszczący w oddali, oblepiony śliną, ściekającą na ubranie. Zapanowawszy nad sobą, skręcił nieco w bok — i szedł prosto na leśniczówkę.

Po kilku minutach, błądzący jak śmierć stanął przed zagrodą, przywitany ujadaniem psal.. Nie mogąc się dostać za ogrodzenie, w obawie o całość swoich łydek, Andrzej zaczął wołać, nie odczuwając, że strach przebytego wrażenia nadał jego głosowi straszliwe brzmienie, pełne ponurych przeczuć.

— Kobieto! — hej kobieto!.. Drzwi się rozwarły i zamiast gajowej, stanął na progu, ze starą jednorurką tęgi chłop, rozebrany prawie zupełnie.



Stanisławów, pow. Nowo-Miński (fot. dr. B. Geyner).

niez za ledwie w spódniczynie, z małą kopczą lampką w garści. Zaczęła lamentować nieszczęrze, fałszywie, podle, nieudolnie, do mdłości.

— Powiesił się, o mój Jezusie kochany...

— A gdzie? — pytał chłop.

— Na drodze, w stronę młyna.

Powiedział i nie czekając na nic, odszedł w las. Zanurzył się w pobliskie krzaki i przez ciekawość spojrzął za siebie.

Baba postawiła lampkę na przewróconym do góry dnem ceberku i złapała kochanka za szyję. Usłyszał szept:

— Tyś mój?

— Twój, Jaguś!..

— To pobierzema się!

— Tak Jaguś!

— A miłujesz?

— Jak zbawienie duszy. — Jak życie...

I widział jak weszli do izby, trzymając się mocno, miłośnie.

Za chwilę światło zgasło.

Okienko zamknęło się jak oko zasypiającego. Las usnął zupełnie. Tylko

Andrzej szedł ku domowi błądzący i drżący.

Powtarzał w głębi duszy i rył w sercu straszne, krwawiące słowo:

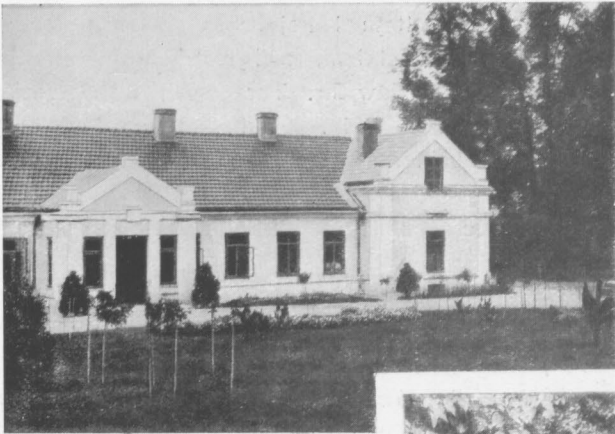
— Wyjadę...

.....

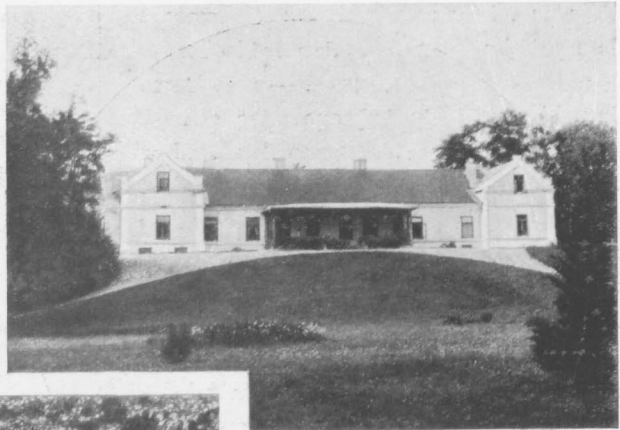
STEFAN KIEDRZYŃSKI.



W eichym zakątku.



Czechy. Dwór od zajazdu.
Własność hr. Leonarda Mieroszewskiego.



Czechy. Dwór od strony ogrodu.

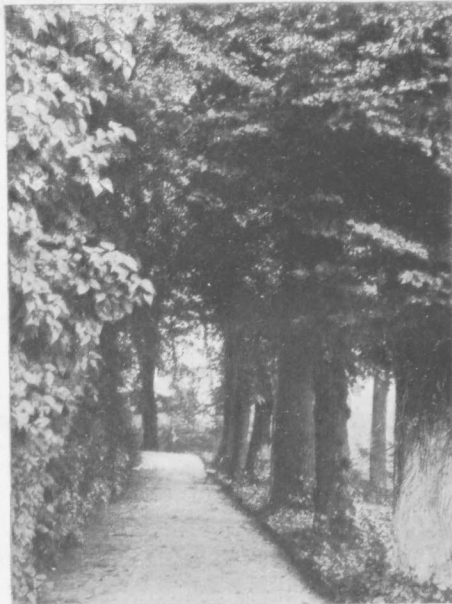
CZECHY

dawna osada czeska w ziemi krakowskiej, sięgająca czasów króla Przemysława.

Od Czech nazwisko swe wzięta dziś już w linii polskiej wygasła rodzina „Czeskich“.

Ostatnim piszącym się na Czechach Czeskim, był Wojciech z Czech-Czeski, cześnik Malborski. Córka tegoż Anna z Czech Czeska, wnosi Czechy z Waganowicami, Piotrkowicami i innymi w dom męża swego, Kacpra Jaxy Otwinowskiego, starosty Wyszogrodzkiego, właściciela licznych majątności w Krakowskim i Sandomierskim województwie. W roku 1736 na mocy działów po Jakóbie Jaxie Otwinowskim, stolniku Wyszogrodzkim, Czechy z Waganowicami dostają się Barbarze z Jaxów Otwinowskich, żonie Adama z Mieroszwic Mieroszewskiego na Dzie-mierzycach, wojskiego Halickiego, łowczego Łatynowskiego

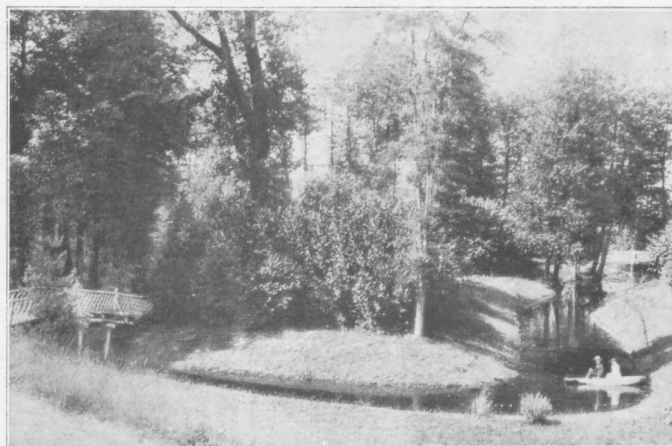
W rok później jednak widzimy panem na Czechach et circumferentiis Szymona Jaxę Otwinowskiego, a Barbarę Mieroszewską na mocy zamiennego aktu z bratem, właścicielką Kowalowa i Bleszna w ziemi Siewierskiej.



Czechy. Aleja lipowa.

Mieroszewski, sędzia pokoju województwa Krakowskiego. W działach dostają się córce Eleonorze z Mieroszewskich Mieroszewskiej, żonie Józefa, półkownika wojsk polskich, adjutanta księcia namiestnika Zajączka. Syn Władysława z Mieroszwic Mieroszewski w 1869 roku odstępuje Andrzejowi

z Mieroszwic Mieroszewskiemu aktem kupna, sprzedaży i spląt (tak Czechy wróciły do prawnuka Barbary z Jaxów Otwinowskich Mieroszewskiej); od roku zaś 1895 mocą działu ojcowskiego dostały się Leonardowi Mieroszewskiemu, obecnemu właścicielowi.



Czechy. Widok z werandy na park i kanał.



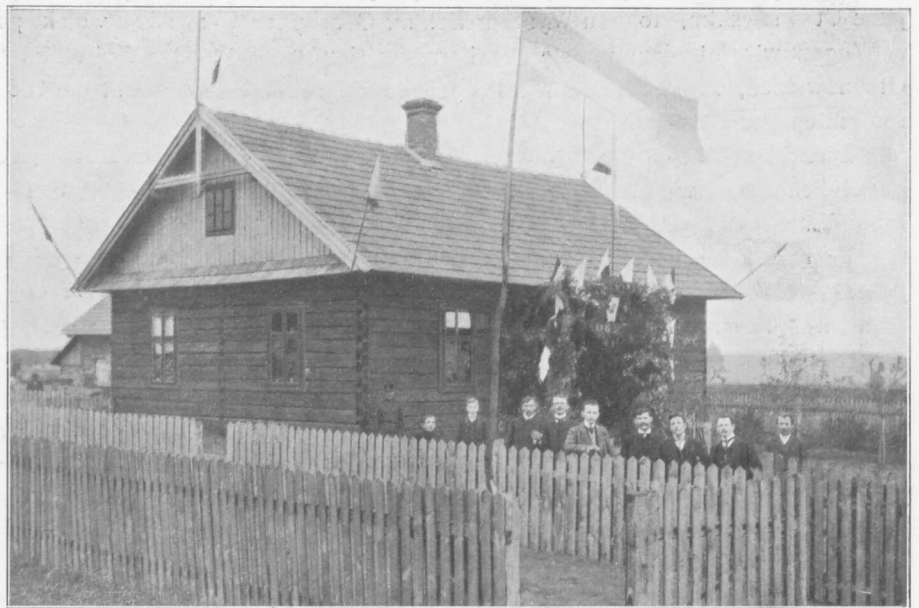
Ferdynand Kuraś.

UCZCZENIE CHŁOPA-POETY.

W dniu 1 Września b. r. odbyła się w Dzikowie pod Tarnobrzegiem, niezwykła uroczystość oddania daru narodowego w postaci zagrody włościańskiej znanemu poecie ludowemu, Ferdynandowi Kurasiowi z Wielowsi. Z inicjatywy szerokich kół włościaństwa powiatu Tarnobrzeskiego zawiązał się, jak wiadomo w Tarnobrzegu komitet obywatelski, który pragnąc uczcić i wynagrodzić twórczą działalność Kurasia, oraz pragnąc poprawić ciężkie jego położenie życiowe, postanowił zająć się zebraniem wspomnianego daru. Protektorat przyjął Stanisław hr. Tarnowski, przewodniczącym został b. starosta tarnobrzeczki, radca nam. p. Eugenjusz Swoboda, zastępcami przewodniczącego ks. dziekan Szczęsny Rudnicki z Wielowsi i wójt p. Jan Słomka z Dzikowa, wreszcie niezwykle ruchliwym sekretarzem nauczyciel, p. Zygmunt Kolasiński, któremu przypada główna zasługa doprowadzenia do skutku tej pięknej myśli. Rozpoczęło się zbieranie składek, napływających obficie z Galicji, z kordonów, z Ameryki, a nawet z Syberji i Egiptu.

Członkowie komitetu i najbliższa okolica, pierwsi pospieszyli z udziałem, zwłaszcza Stanisław hr. Tarnowski, Zdzisław hr. Tarnowski, tarnobrzeczka Rada powiatowa i in. Komitetowi powiodło się wreszcie za uzbierany grosz, przy zaciągnięciu długu, nabyć grunt w Dzikowie i wybudować zagrodę, w której Kuraś będzie mógł dalej pracować piórem i na roli.

Na uroczystość oddania zagrody poecie przybyli mimo niesprzyjającej pogody liczni goście z dalszych stron, dziennikarze, obywatelstwo z okolicy, oraz tłumy mieszkańców Tarnobrzega i Dzikowa. Przed południem odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele OO. Dominikanów, odprawione przez ks. NN. z Królestwa Polskiego. W prezbiterjum świątyni zasiedli: poeta z rodziną, Zdzisław hr. Tarnowski z rodziną, Hieronim hr. Tarnowski, komitet obywatelski i goście. W czasie nabożeństwa odśpiewał szereg pieśni chór młodzieży akademickiej. Następnie o godz. 2 po południu udano się powozami do Dzikowa, gdzie wiele domów przystrojono chorągiewkami o barwach narodowych, a samą zagrodę przystrojono zielenią i chorągwiami, przed domem zaś ustawiono estradę, stół i kilkadziesiąt krzeseł. Gdy zebrani zajęli miejsca, rozpoczęła się uroczystość poświęceniem, którego dokonał ks. dziekan Rudnicki, otwierając następnie szereg przemówień skreśleniem sposobu, w jaki powstał ów dar dla chłopca-poety; zakończył złożeniem życzeń i odczytaniem błogosławieństwa pasterskiego, przesłanego dla jubilata przez ks. biskupa Pelczara. Po odśpiewaniu przez chór kantaty, zabrał głos poseł sejmowy, Zdzisław hr. Tarnowski, aby w ciepłych słowach życzyć włościaninowi-poecie szczęśliwej pracy



Uczczenie chłopca-poety. Zagroda w Dzikowie, zakupiona ze składek publicznych dla poety Kurasia.

w nowej siedzibie. W imieniu Rady pow. przemawiał p. Zbigniew Horodyński, marszałek powiatu. W imieniu włościan z Wielowoi, gdzie Kuraś dotychczas mieszkał, zęgnął go i składał mu życzenia włościanin Walerjan Wryk. Imieniem Dzikowa, w którym znajduje się zagroda, witał poetę Jan Słomka, autor głośnych pamiętników; w imieniu wzruszonego Kurasia dziękował p. Zygmunt Kolasiński, sekretarz komitetu, odczytując podziękowanie, przez głuchoniemego poetę skreślone. Odczytał też tele-

E. Bandrowski, T. Merunowicz, A. Cielecki, C. Haller, E. Zieleniewski, W. Dębski, Reprezentacja m. Nowego Targu, b. posłowie: Fr. Wójcik, T. Buynowski i H. Wielowieyski, redakcje pism krajow., przyjaciele poety i in.

Uroczystość zakończyła się o godzinie 4 po południu. Na poniedziałek zorganizowano wycieczkę do Sandomierza, na którą zgłosiła się znaczna liczba uczestników. Wycieczkę prowadził p. Zygmunt Kolasiński. W porcie sandomierskim powitali poetę



Uczczenie chłopca-poety. Uroczystość oddania zagrody pocie Kurasiowi. Przemawia właściciel Dzikowa, Zdzisław hr. Tarnowski.

gramy, które nadeszły licznie ze wszystkich stron. Oprócz wspomnianego pisma ks. biskupa Pelczara przesłali telegramy: ks. arcybiskup Bilczewski, Stanisław hr. Tarnowski, minister Biliński, marszałek kraju Gołuchowski, wiceprezydent Rady szkolnej dr. Dembowski, prezydent dr. Leo, Macierz polska, Ossolineum, ks. Andrzej Lubomirski, Antoni Małecki, A. Krechowiecki, L. Finkel, L. Rydel, Władysław Bełza, Tow. Szkoły Ludowej, Tow. Oświaty ludowej, Tow. Dziennikarzy polskich, Tow. Kółek rolniczych, Związek Tow. „Sokół“, Związek Podhalan, S. Matusiak, W. Kętrzyński, W. Hahn, posłowie:

Kurasia, który znajdował się między uczestnikami wycieczki, redaktor „Kroniki dyecezalnej“, ks. prof. J. Gajkowski i redaktorzy „Sandomierzanina“, pp. M. Skorupska i S. Fitaszewski. Uczestnicy wycieczki zwiedzili wszystkie cenne zabytki Sandomierza, poczem wieczorem powrócili do Tarnobrzega, skąd rozjechali się do domów, unosząc miłe wspomnienia z uroczystości.

Przebieg uroczystości świadczył o sympatji, jaką cieszy się wśród współobywateli obdarowany rolnik-poeta.





Nad jeziorem w Zadołżu, pp. Wołłowiczów (fot. A. Orda).

Kraszewski i świat wiejski

(dokończenie).

Po „Starej Baśni“ nastąpił cały szereg powieści sięgających wciąż jeszcze tych zamierzchłych dziejowych okresów i wypadków, nim Kraszewski w tym historycznym różańcu zbliżył się do czasów badaniami już rozjaśnionych, posiadających niezbite i znane dokumenty swego społecznego i politycznego kolorytu.

Ale nim do nich doszedł, fantazja jego miała jeszcze szerokie pole do rozwinięcia skrzydeł nieskrępowanych drobiazgową historyczną ścisłością. Kontrasty światła i cieni wyrastały w jego dziełach z tą samą, co w „Starej Baśni“ swobodą, choć może już nie zawsze tak potężnie. Artysta ustępował miejsca zakresowi podjętego zamiaru. Od Piasta do Poniatowskiego droga była daleka; chcąc ją przebyć nim piasek zasypie oczy, trzeba się było śpieszyć. Śpieszył się więc powieściopisarz, folgował artysta. Nie idzie nam tu zresztą o ocenę tej olbrzymiej twórczości z punktu jej artystycznych walorów. Interesuje nas stosunek jej do świata wiejskiego, przedewszystkiem.

Ten świat właśnie wyrastał pod piórem Kraszewskiego w kształtach żywych i barwnych, olbrzymiał w skali zadań dziejowych ukazujących nam w perspektywie może fantastycznej ale wyraźniej.

Po piastowskiej apoteozie kmiecia nastąpiła apoteoza rycerza.

Ten rycerz tak samo jak kmić wyrósł z roli i na roli. Zasiadał już w gródku warownym, dokoła którego trzebione toporem, rozorywane plugiem leśne pustacie otwierały coraz szersze horyzonty pracy ludu. Ale sama ta praca rosła tylko na ilość. Była szara, oblana potem, karmiona czarnym chlebem, monotonna a bezkreśna. Rozwój polityczny przechodził nad nią, schyloną nad zagonem, wysoko. Nic nie zmieniał w niej jeszcze. Wyrastało w nim tylko barwą, kształtem, błyskawicami zdarzeń — rycerstwo. Wyrastała i dynastia. Dynastia otaczająca się mnogim dworem, ściśle zespolona z tem właśnie rycerstwem, oparta na niem, a nawet wyłącznie z niem się licząca.



Ono też więc — to rycerstwo — i stosunki jego z tronem wypełniły i zaludniły zupełnie świat powieści Kraszewskiego z tych czasów. Ale świat ten nie przestał właśnie przez to być wiejskim, bo rycerz pochodził ze wsi, z roli, na niej się głównie opierał, ona była podstawą jego życia, nie tylko kolebką, a król nawet, czy książę panujący był ziemianinem, pierwszym ziemianinem swego kraju, tak jak król francuski był pierwszym szlachcicem swego królestwa.

To też akcja w odnośnych powieściach Kraszewskiego przetacza się wciąż po gościńcach i traktach wyrąbanych w puszczy od grodu królewskiego do zamków magnackich i z jednego zamku na drugi.

Niema w tych powieściach wyraźnych podkreśleń wiejskości ich bohaterów, bo jest ona zbyt zbytnią; możnaby powiedzieć, że ta wiejskość jako forma stała się „Grodowością”. Czuje się wprawdzie z luźnych wiązanych narrację powieściową wzmianek, że pod boki tronu, w murach niewielu istniejących już miast wylęga się jakieś mieszczaństwo, że ono jest, ale niedaje mu jeszcze Kraszewski żadnych konkretnych form. Daleko silniej zresztą czuć istnienie chłopca. Czuje się, że on żyje, że się rozmnożył z piastowskich kmieci, że pracuje na króla, na panów i na rycerzy. Widać tę jego

pracę w dostatku zastawianych po dworach pańskich biesiad, w obfitości służby, w zaprzęgach u pańskich kolas, w parskających pod rycerskim siodłem rumakach, nawet w połysku jasných zbroi i mieczów, za które miejscy płatnerze biorą z zagony czarnej ziemi, wyorane chłopskim trudem, złoto.

Trudno znaleźć większe umiłowanie powieściowych bohaterów przez ich twórcę, jak to właśnie którym Kraszewski otacza w tej epoce polskie rycerstwo. Tak kocha Dumas swoich nieśmiertelnych muskietierów, Walter Scott swoich, z krucjaty powracających towarzyszy Ryszarda Lwie Serce, tak

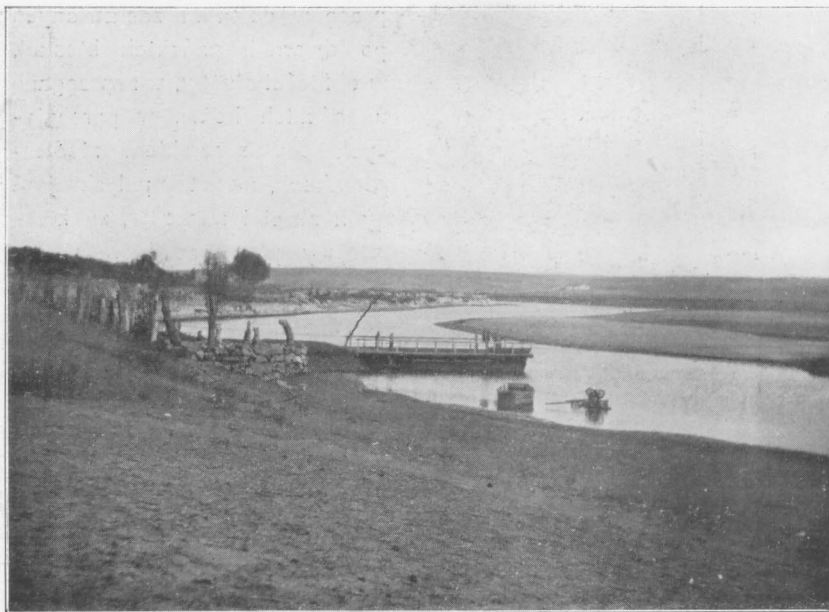
Sienkiewicz ukochał swoją niezapomnianą czwórkę rycerską z trylogji, swego Kmicica i swego Zbyszka.

„Królewscy synowie“, „Bracia Zmartwychwstańcy“, „Lubonie“, „Boleszczyce“, to setki kart zapisanych tem właśnie serdecznem, czułem, niczem się nie zniechęcającem umiłowaniem.

Rysunki charakterów są tu zawsze szlachetne, nawet wówczas jeżeli prawda historyczna wymaga dla nich czarnej barwy. Pod każdym takim kirem lśni się iskry instynktów wzniosłych, szeleszczą potężne pióra jakichś skrzydeł bohaterskich, takich samych, jakie Rzewuski przypinał swojemu Samusze na Zaporozu, nim on się w Zborowskiego zupełnie przekształcił.



Dziewczęta nad Styrem na Wołyniu.



Prom na Bohu koło miasteczka Kołosnowa na Podolu (fot. Cz. Dobrowolski).

Ewolucja dziejowa odrzuciła na kurhany hursarskie koncerze i skrzydła, pancerz z ryngrafem Boga Rodzicy zamienił się w kontusz, delja w ferzeję, a twardy, złoty pas rycerski zmieknął na jedwab i tyftyk..... miecza by już nie podźwignął, karabelę na nim zawieszać poczęto.

Rycerstwo przerodziło się w szlachtę. Rozmnożyło się na nią, jak piastowscy kmiecie na chłopów. Ale ta szlachta coraz liczniejsza, tem silniej przywarła do roli i zastąpiwszy w powieściach historycznych Kraszewskiego, jego poprzednich ulubieńców, rycerzy, silniejszy jeszcze tytuł do przedstawicielstwa świata wiejskiego w nich zyskała.

Zaczęła się więc apoteoza szlachty i szlachetczyzny.

Tu już kontrasty światła i cieni zatarły się w migotliwej różnobarwności nowych barw, tu już niewystarczyły dwa zasadnicze, dotychczasowe tony: biały i czarny.

Paleta fantazji i miłości Kraszewskiego tych nowych barw dostarczyła dużo. Poczęły one mienić się i grać w słońcu Jagiellońskiej ery jak siedmiobarwna tęcza. Jak prawdziwy łuk przymierza między ziemią polską i jej przyszłością rozpinał je Kraszewski na opowie-

ściach tych czasów, dziergając zeń kraśne nici zdarzeń, malując nimi z rozmachem tęgie i pełne jeszcze krzepkiego zdrowia postacie tych historycznych aktorów.

Skala charakterów i typów rozwinęła się ogromnie. Na chłopca nie było już miejsca. To też po zaznaczeniu w jednym ogniwie tego cyklu Kaźmierzowych z ludem przymierzy, pozostawił Kraszewski chłopca przy codziennym jego, niezmiennym roboczym znoju, zadawalniając się znów zasadniczym stwierdzeniem jego istnienia. Przy umiłowaniu swego szlachty tem mniej już miał dla tego chłopca miejsca, że nie mógł pomijać dłużej, wyrosłego już mieszczaństwa. Zajął

się też niem w drugim po szlachcie rzedzie, z życziwością patrijoty ale odmierzoną z pewnego parnasu szlacheckich predyspozycji.

Przyznał temu mieszczaństwu wszystkie prawa do szlacheckich uczuć, ale przemilczał o szlacheckości instynktów. Zostawił mieszczaństwo przy łokciu i wadze, za murami ich kamienic, niewdzielną, ale wyraźną i mocną nicią wyłącznego afektu dla szlachty odgraniczając ich od szerszych horyzontów działań, od kultury duchowej, a w najlepszym już razie czynił ich rozwój zależnym od dobroczynnego wpływu szlachty. Jest w tem traktowaniu żywiołu mieszczańskiego przez Kraszewskiego jakieś echo



Urywek życia wakacyjnego na tle dworu w Hati (Wołyń, pow. Łucki) wł. Peretjatkowiczów.

cichych i dobrotliwych poklepywać go po ramieniu, jakaś pobłażliwa czasem, ale zawsze z góry trochę patrząca i dlatego właśnie różniczkująca ich życzliwość. Jest nawet tu i owdzie uznanie i zapłata wdzięczności, niema jednak tej samej miary ukochania jaką przynosił zawsze i wszędzie wiejskiemu światowi, jakiej trochę dał zresztą mieszczaństwu w powieściach obyczajowych.

Od czasów saskich predyspozycja Kraszewskiego dla szlachty musiała ustąpić nieco prawdzie historycznej. Niepodobna było apoteozować szlachty ówczesnej. Niebyłby na to nigdy Kraszewskiemu pozwolił jego wielki i szczery patriotyzm. Ten patriotyzm przynosił się już wówczas na późniejsze pokolenie, na przyszłość kraju i w jej imię musiał piętnować upadek warstw rządzących.

Był też Kraszewski jako malarz tej epoki historycznie ścisłym w doborze jej barw i tonów w rysunku postaci i ich psychologii, można jednak i w powieściach odnoszących się do tego okresu wyraźnie wyczuć ojcowską, pełną smutku przychylność, żalującą że w imię sprawiedliwości i prawdy karcieć musi to, co ukochał.

Żal i gorycz jakie z tego powodu wzbierały musiały w tem tak gorąco bijącym sercu dały mu też siłę do ostrego i bezlitosnego piętnowania tych, co z ziemi wyszedłszy i na niej się wzbogaciwszy osiedli w miejskich pałacach, troszcząc się o własne,

ciasne dobro i zysk, niepomini losu i przyszłości tej, co ich wydała, ziemi.

Intrygi i matactwa wielkich arystokratycznych rodów i ich moralny upadek piętnował też Kraszewski tak, jak nikt przed nim inny.

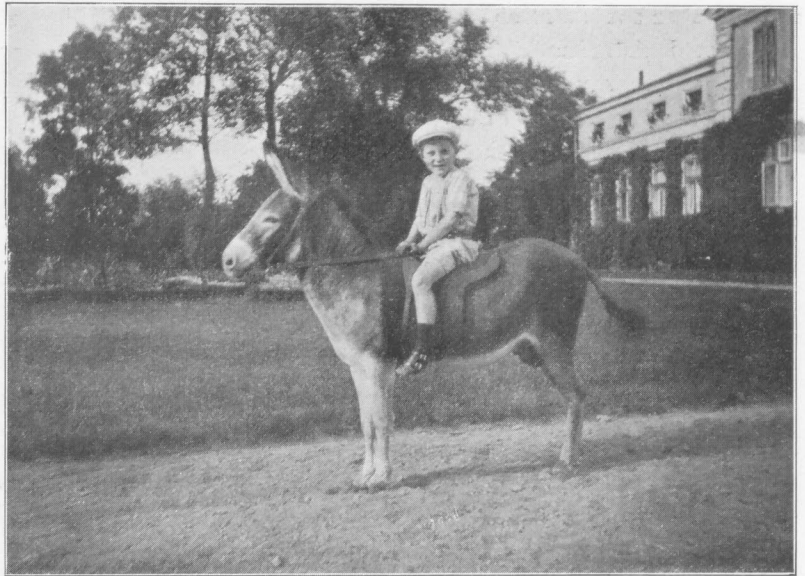
Cykl historycznych powieści jego — ta najtrwalsza z jego wielkiej spuścizny pamiątka — zamknęła się na tych kartach żalu.

Pozostają jeszcze obyczajowe powieści jego.

Tu ideałem do którego dążył, który najwyżej przed narodem chciał wznieść stał się — obywatel.

Z natury rzeczy obywatela tego, przedewszystkiem chciał być zobaczyć w ziemianinie. Ale aby dobrać się do czystych pierwiastków ziemiańsko-szlacheckiej duszy trzeba było dokonać na niej bolesnej, choć zbawczej operacji, zderzenia tej skorupy egoizmu, jaka na niej w ciągu poprzednich okresów upadku osiadła.

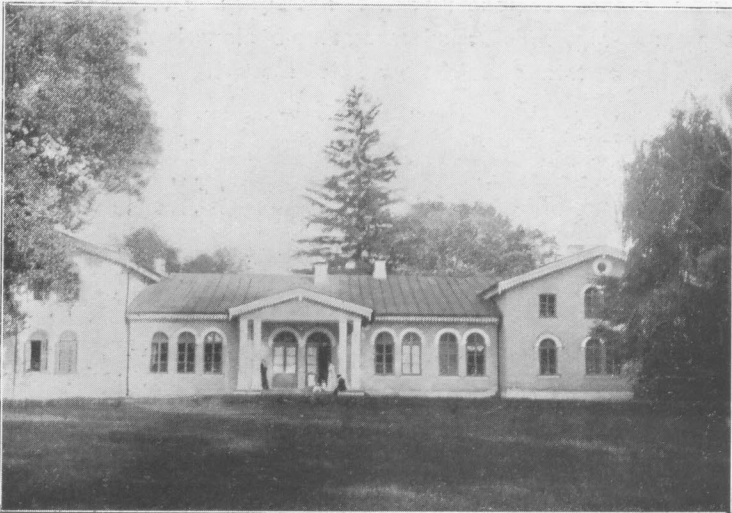
Do ciężkiej i przykłej tej pracy zabrał się wielki powieściopisarz z wiarą w jej konieczność dla narodowego zdrowia. I była to najtrudniejsza może próba jego miłości dla świata szlachecko-miejskiego, miłości która musiała posługiwać się bez drżenia nie tylko już biczem satyry obyczajowej ale nawet nożem chirurga; która niezawahałaby się przed amputacją zmartwiałych już, lub gnijących odrośli ukochanego szczepu dla uratowania jej życia.



Pierwszy wierzchowiec Wojtusia (fot. am. Janiny Wyganowskiej).



Bogata zagroda chłopska z okolic Mirocza, gub. Wołyńska.



Pustownia (na Ukrainie) własn. pp. Chamców.

Powieści Kraszewskiego malujące zepsucie warstw uprzywilejowanych zastyganie wszelkich uczuć prócz egoizmu i próżności w ukochanej szlachcie, pisane też są naprawdę serdeczną krwią.

Typy stawiane jako wzór obyczajowego absurdu i społecznej szkodliwości wynicowane są jego piórem do ostatniego strzępka. Upadek i zguba ich wyprowadzone zawsze z żelazną siłą nieubłaganej sprawiedliwości, która nie daje żadnych alternatyw temu, co się przeżyło, co marne, co powinno zginąć. („Morituri“, „Denderowie“, „Złoto i Błoto“, „Dola i niedola“, „Czarnoksięska Latarnia“).

Jeżeli za to dla przeciwwagi tym ponurym obrazom rysuje Kraszewski typ obywatela takiego, jakim chciałby widzieć potomków szlachty, to rysunek jest zawsze wyidealizowany nawet aż do banalności wzorów kaligraficznych. Takemu ideałowi nic już nie brakuje, jest on tak doskonałym, że aż trudno w jego możliwość uwierzyć. Cokolwiek jednak powiedziałby o tem krytyk z punktu widzenia artystycznej oceny tej twórczości, trzeba w tem umieć dojrzeć niespożyte, wiecznie do kiełkowania gotowe

ziarno tej wielkiej, gorącej miłości, która w sercu Kraszewskiego paliła się przez życie całe jasnym, żywiącym płomieniem.

Z tego płomienia wyszły też przecie i te pełne współczucia dla doli ludu, pełne poezji cichego cierpienia powieści o nim — „Jaryna“, „Ulana“, „Ostap Bondarczuk“ i te pełne smutku jasnego i tęsknoty dziwnej, tragicznej, „Chata za wsią“, i „Żyd“.

Z ram wiejskiego świata rzadko Kraszewski wychodził, a choć one dziś tak ciasne może niejednemu się wydają, potrafił przez całe życie czerpać z nich pełną garścią klejnoty uczuć i myśli, potrafił je opromieniać i przepając tą wielką, nieprzebraną miłością swoich i wszystkiego co swojskie, która wszystko

przebaczyć ma prawo — bo wszystko zrozumiała...

A kochać ludzie umieją jeszcze — jeno przebaczać przez miłość już zapomnieli...

Dzisiejszy wiejski świat musi o tem właśnie pamiętać. To jego obowiązek przyrodzony.



Widok z ogrodu w Kroczewie.

Powieść Kraszewskiego, historyczna zwłaszcza, nie przeżyła się dotąd wcale. Jest dla niej zawsze wolne miejsce przy oświetlonym wieczorną lampą stole rodzinnym wiejskich dworów i ciepły kącik przy ich domowym ognisku. Bo za miłość jedyną zapłatą jest wierna pamięć. Pamięć, co kruszy pieczęcie grobowe i z popiołów nowy żywot wskrzeszać swoją siłą potrafi.

Wielki powieściopisarz zostawił nam żywy przykład tej mocy: w promieniach jego miłości dla ojczystych dziejów odżyły one w całym bogactwie nieprzebranych barw swoich i przyszłość związała się z przeszłością w nierozzerwalny akord bytu. Dalsze ogniwa tego łańcucha sami już wiązać musimy; niechże o tem pamiętają

ci, których miłość Kraszewskiego zawsze w pierwszym szeregu jego społecznych ideałów stawiała...

s.



SŁONECZNIK

Po burzy...
 Niebo chmurami ciężkie, szaro-stalowe, porwane gdzieś w strzępy steroryzowanych gromami obłoków, przestaje grozić...

Śpiewa wiatr, ale już nie ten przeraźliwy kochanek błyskawic, już nie ten, chichotu pełen, tragiczny Atylla firmamentu, jeno zwiastun... słonecznej ciszy.

Jak stado niesamowitych upiórów pierzchają nawałniste tucze zwyciężone, czy już niezdolne zwyciężać nadal.

Przed chwilą było okropnie: klęska złocistych promieni, gonitwa piorunów, bluzgające deszczem upusty, wycie obłąkanych dzieci Eola, ciemność i gwałconej natury wstrząs...

Przed chwilą jeszcze gięły się drzewa stuletnie w łęk pokornego strachu, kwiaty zdeptane opłakiwały plugawioną krasę łzami męczeństwa...

Przed chwilą jeszcze złowroga samowola żywiołów rozpętała długo hamowaną wściekłość, że wszystkie legendy Danta i cała katorgia Golgot ziemskich, zdawała się przy nich bladą parodją.

Tryumfowała Apoteoza Burzy...

Potępieńcza...

Lecz oto śpiewa wiatr radosny, bogaty cudną obietnicą promienistego spokoju. Szumi prawdziwą melodją, błogosławiącą upadek piorunowych gzygzaków.

Wiatr... Łagodny wiatr...

Więc budzi się lasów państwo z trwożnego skupienia. Budzą się sady kwieciste i wonne. Budzi się radość... pogody...

Pieśń bożych śpiewaków dzwoni.

Wróżebna...

Minął tryumf Demona burzy i dżdżu topiącego. Rozgrały się hymny dziękczynne za wróconą ciszę. Zśród rudawej opony obezwładnionych chmur wyblęsnął błękit...

Przezysty, jaśniejący szmat bezkresu, — żrenica Boga.

Rozpiął się błękit nad ziemią brylantami rosy wyszytą, jak haftem kosztownym. Zakołysały się drzew wierzchołki strzeliste. Kwiaty stubarwnym klejnotom podobne, wonia odetchnęły upajającą: krwawe korale maków, zadumane ametysty ostró-

żek, bursztyny jaskrów, chabrow szafiry i róż dziewicy przepych.

Uciekają chmur pobite zastępy, trwożą skłębione... Daleko, daleko... Jak stado niesamowitych upiórów...



Kraczkówka. Na werandzie.

I nagle... złoty rydwan słońca wjechał na świetlisty błękit. Lunęła djamentowa kaskada oślepiających lśnień. Zadrgał opalowy półton powietrza mirjadem zwyciężających promieni.

Słońce przejasne, słońce...

Ujrzał je... on...

Słonecznik...

Przygięła go ku roztopnej ziemi wichru zajądłość, — depcząca. Spadła nań ta nietłosa, pełna okrucieństwa, furja burzy... Był blizki śmierci haniebnej...

I oto podnosi ukoronowaną topazami głowę. I oto rozprężanie moc zielonego tułowia. Wskrzeszony...

Słońce... życiodajne... On, pyszny samotnik, zda się, król wśród drobiazgu poddanego kwiecica, — wstaje...

Tysiące czarnych źrenic wyprzymotnia z półsnu, niedawnej półśmierci.

Patrzy...

W słońce — słońca syn... słońca czciciel, słońca wyznawca...

On, przerastający ukoronowaną topazami głowę krwawe korale maków i zadumane ametysty ostróżek, i bursztyny jaskrów, i chabrow szafiry, i róż dziewiczy przepych...

Kapłan słonecznego boga...

Drobiaz poddanego kwiecica gwarzy: Powój zaleca się nie nasyceniem oplatających ramion purpurowej georginji. Ta znów kocha się w biskupim fjolecie bratka... Więc skarży się nastawiana rozkosznica kapłanowi słonecznego boga...

Mak oplakuje rozbitą czaszkę siostry — makówki. To niedawnej burzy ofiara... Może syn słońca pomoże?..

Róża ujrzała zgon goździka, który utonął, dzięki ulewę łotrostwu. Trzeba zawiadomić czciciela słońca.

Całą kolonję maciejek pohańbił wiatr obłąkany...

Niech wie o tem słońca wyznawca... Zaś jarzyny mają specjalnie dużo kłopotów.

Marchew trzeba dobić, bowiem piorun urwał jej pióropusz... — Kalafjor dostał pomieszania zmysłów ze strachu.

Zamknął się w zielonawym pancerzu, jak-gdyby bluzgał ciągle deszcz jadowity.

Fasola zgubiwszy strączek, najukochańszego benjaminka, wymówiła posłuszeństwo mężowi swemu, — ogórkowi.

Cebula ma dosyć niedyskrecji kapusty, zgłupiałej do reszty.

Pomidory

szydą z naiwności kalarepy. Same czerwone, zda się kompanja apoplektyków, gotowe są zgorszyć oburzoną sąsiadkę.

Buraka oszukał szczaw, nazywając kartofel plotkarkem, za co ten ostatni pogniewał się z nim zawsze.

Groch, jak zwykle, nachodzi cudze mieszkanie.

— Ratur, pogódź nas! — wołają swarliwe jarzyny, zwracając głowy w stronę słonecznika...

Wobec czego jabłoń postanawia zadenujcować wiśnię, że przechowuje u siebie kilka sikerek — uciekinierek.

Orzech prowadzi rozwód z śliwką, starą plotkarką. Niech wszyscy wiedzą o tem.

Truskawki doszły do wniosku, że malina kocha się w trznadlu, zatem nie są pewne cnoty.

Tylko co urodzony grzyb dowodzi, że jest mądrzejszy od brzozy. Co za bezczelność?..

Kasztany zerwały z całym towarzystwem. Ale nie wiadomo kto kogo przeprosi?..

Biedronka pocałowała w policzek „pazia królowej“. Oczernił ją „żałobnik“, znany świętoszek.

Słowik mało zajmuje się sprawami gniazda. Nic go nie obchodzą domowe śmiecie.



Kraczkówka, gub. Kijowska, pow. Humański. Włas. W. Kozakowskiego. Pałac.



Kraczkówka. Z psami.

Osa szpieguje. Podpatrzyła miejsce schadzek sroki ze szczygłem. Nikt nie może przewidzieć, co będzie z tego...

Skandal zrobił czyż. Namówił wronę do wiromstwa i uciekł.

Kret cierpi na widok niedoświadczenia młodocianej glisty, gotowej wszystko zrobić dla ojcobójcy — dudka.

Bąk, — kawaler orderów umarł. Pogrzeb wyprawiła mu siostra cioteczna — mucha, chowając go w grobie rodzinnym.

Wiatr zniszczył gabinet konika polnego. Biedak — bezdomny.

— Ha, ha, —

śmieje się gil. — Jaki ten komar głupi?.. Jaki głupi?..

— Chodźmy powiedzieć wszystko słonecznikowi, — wołają razem: drzewa, jarzyny, owoce, ptaki i owadów kohorty...

— Chodźmy... Ale on, samotnik, w topazowej koronie, nie widzi nic i nie słyszy...

Słońce mu cel, słońce — wiara, słońce — nadzieja, słońce — miłość...

Tysiącem czarnych źrenic ogarnia promieniejącą tarczę dalekiego boga...

On, jego syn, jego kapłan, jego wyznawca.

Nie widzi nic i nie słyszy...

Więc jeszcze dierzba-srokosz, tyran i okrutnik tłómaczy się, że to nie z jego winy zagłada rodziny ryjkowców. Wszystko plotki i plotki...

Dostojny muchomor przyjął pod swój dach dwie

liszki, chce jednak, by wracały wcześniej do domu, ponieważ lubi spać spokojnie.

Mrówki wyjechały gdzieś daleko, nie zostawiły wszelako dowodu, że wróca. Czy czekać na nie?..



Grupa gości weselnych w Roziejowie.

Gęś słusznie boleje nad losem babki, którą podobno upieczono i zjedzono. Biedna staruszka...

Kura patryjotka i feministka znienawidziła indyka, szerzącego wiecznie głupie doktryny o wyjadaniu kaszy jaglanej.

— Wysłuchaj nas, wysłuchaj!!! wołają mieszkańcy pól, łąk i lasów.

— Wysłuchaj!

Zadumany, rozmodlony i nie-

my stoi on — słonecznik... Zwrócony ku słońcu opalową twarzą — milczący.

Jak najwyższy kapłan dalekiego Boga, Dnia.

Święta jakaś, natchniona pokłonnością skupia się w spojrzeniu tysięcy czarnych źrenic.

Topazowa korona pięści złotą aoreolą to czuwające oblicze.

Dumnie wznosi się zielony tułów, uskrzydłony chryzolitamiści nieruchomych.

Patrzy...

Tam, hen w górze promienieje jego cel, jego wiara, jego nadzieja, jego miłość.

Słońce... Apoteotycznie — królewskie...



Fragment z wesela w Roziejowie państwa Mateckich z 11 września 1912 r. (fot. am. Tadeusza Mateckiego).

Znałem pewnego pana...

Dziwny był, czy jak tam?..

Może nadzwyczajny?..

Nie miał ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata, ani kochanki, ani przyjaciela.

Samotny... pewien Pan...

Co robił, nie wiadomo?..

Nie pisał wierszy, nie malował obrazów, nie śpiewał w operze, ani nie służył w towarzystwie asekuracyjnym.

Nie chodził na spacer, nie bywał w kawiarniach, nie odwiedzał znajomych, ani nie leczył się na kurcze żołądka.

Ponieważ miał coś z indywidualisty i coś z lokaja, przeto musząc wytrzeszczać na kogoś rozmodlone źrenice, patrzył w... słońce.

Mijały godziny, dni, tygodnie, miesiące, przechodzili ludzie: artyści, wojskowi, księża, urzędnicy banków, posłańcy, kokoty, uczniowie i żebracy, on zaś, nie widział ich, milczący, obojętny, nieczuły, wzgardliwy i patrzył w... słońce...

Narazie tylko w... słońce.

Od rana do wieczora trzymał utopione oczy w złoto — promiennej tarczy życiodajnego światła.

Od rana do wieczora tkwił samotny, na jakimś zapomnianym cyplu skały, czy może dachu źle pilnowanego domu i patrzył w... słońce.

Mijały godziny, dni, tygodnie, miesiące, mijały dzieła i myśli, zdarzenia i katastrofy, wypadki i narodziny, tryumfy i pogrzeby, on zaś nie słyszał o nich, kamienny, wyniosły, pyszny, lokajsko uległy i patrzył w... słońce...

Aż raz, gdy, jak zwykle rozmodlonemi źrenicami tonął w słońca jaśniach, gdy, jak zwykle milczący, obojętny, nieczuły, wzgardliwy, kamienny, wyniosły, pyszny i... lokajski tkwił na cyplu nieznanego skały, czy może dachu źle pilnowanego domu... nagle... padł nieprzytomny i... umarł.

Dostał porażenia słonecznego.

.....
.....

PRZEGLĄD TEATRALNY.

W częstych rozmowach o teatrze, biada się zwykle nad upadkiem literatury dramatycznej. I słusznie. Wspomina się przytem równocześnie i o zaniku talentów aktorskich. A to już mniej słusznie. *Talenty* aktorskie nie były nigdy, w żadnym narodzie, powszednością, a takie nazwiska jak Modrzejewska, Żółkowski, Królikowski, Sara Bernhardt, Sonnenthal, Wolter, Duse, Moissi, nie powtarzają się w złotych księgach teatrów świata nadto często...

U samego schyłku sezonu letniego w „ROZMAI-TOŚCIACH“ miała Warszawa sposobność oglądania jeszcze jednego prawdziwego talentu aktorskiego. Pani Polda Dostalova, czeska gwiazda „NARODNIHO DIVADLA“ w Pradze, grała „Norę“ i „Wieczór trzech króli“. Grała to, co było narazie możliwe u nas do grania i wystawienia, bo jej repertuar to: „Romeo i Julja“, „Faust“, „Elektra“, „Beatrix Cenci“, „Hedda Gabler“, „Dalila“, „Ester“, „Magelona“. I na wszystkich występach świetnej artystki była widownia przepelniona, pomimo, iż język czeski jest mało zrozumiały w potocznym dialekcie scenicznym. Więc też „oglądano“ ją więcej, niż rozumiano, a przecież porwał widzów talent szczery, głęboki. Artystka czarowała w „Norze“ grą subtelną, zadziwiała mimiką twarzy i wymową gestów, porywała serdecznym tonem głosu, mową głębokich oczu, i artystycznym cieniowaniem dialogu. Jej gra to już nie „naturalizm“, to nadzwyczajna *naturalność*, daleka od sztuczek i szablonu

„modernizmu“. To też bardzo gorące oklaski i owacyjne przyjęcie, dość rzadkie u nas, były dowodem, iż publiczność poznała się zaraz na wartości talentu sympatycznej artystki, wywożącej do Pragi, wraz z polskimi kwiatami, jak najmiłsze wspomnienia z naszego grodu.

Przed miesiącem, na temże miejscu, zapytywaliśmy z okazji wystawienia dramatu „Judyta“, kiedy zacznie się wreszcie w teatrze warszawskim era wystawiania „wielkiego repertuaru“, lecz wystawiania „po europejsku“. Nastąpiło to, dzięki Bogu — prędzej niż przypuszczaliśmy. „Orlą“ Rostanda, wystawione świeżo w teatrze „WIELKIM“ z niebywałym u nas przepychem dekoracyjnym i kostjumowym, z myślą o wydobyciu ogólnego stylu, z troską o najmniejsze szczegóły techniczne i świetne. I dzięki temu ujrzeliśmy obraz w prześlicznej oprawie, o dużej sile kolorytu epoki, robiący na widzu nieodparte wrażenie, każący mu myślą wracać do swoich, w głębi piersi ukrytych, drogich obrazów własnej historii...

Lecz i *ensemble* naszej komedji i dramatu, przyczynia się bezwarunkowo do pełni tego artystycznego wrażenia w znacznej mierze: wszystkie role grane są z dużą starannością i myślą o harmonji zespołu. Największą trudnością przedstawia główna postać sztuki, grana u nas przed laty kilku przez Sarę Bernhardt, wraz z własną trupą. Młody, o wyjątkowych warunkach do tej roli, aktor, pan Osterwa, mający poza sobą dużo wybornych ról

z lżejszego repertuaru, pokonał wszystkie trudności, męczącej, trudnej i monotonnej w nastroju roli „Orleńca“. Więcej nawet, bo zadziwił grą pełną smaku, wdzięku i wytrzymałości artystycznej. Obok Osterwy takimże uznaniem cieszył się Frenkiel za swą wspaniale narysowaną figurę grenadjera Flambeau. Dobry i staranny przekład wierszem wyszedł z pod pióra p. M. Tatarkiewicza. Sztukę przyjęto z ogromnem zainteresowaniem, cieszy się też niezwykłym powodzeniem, na co w każdym kierunku zasługuje.

W teatrze „NOWYM“ wystawiono farsę F. Schoentana p. t. „Lora“. W krotkowili tej, której wyłączną treścią jej główna *rola* Lory, dzieje się niewiele, lecz panuje zato ruch, gwar i zamieszanie, to też dzięki sytuacjom zabawnym i dowcipnemu dialogowi, utrzymuje się farsa na afiszu, co w pierwszej linii przypisać właściwie należy doskonałej aktorce pani Leszczyńskiej, grającej Lorę z niepospolitą werwą i wyborną charakterystyką.

Sympatyczny letni teatr w „BAGATELI“, zamknął swe podwoje wystawieniem operetki pióra młodego kompozytora, dyrektora orkiestry operowej, p. Tomasza Godeckiego, p. t. „Panna ze skatingu“. Tak bardzo pożądana próba twórczości oryginalnej w tym zakresie, doznała zasłużonego powodzenia i przyjętą była bardzo życzliwie. Muzykę cechuje wykwinne opracowanie orkiestrowe oraz niebanalna, oryginalna instrumentacja, przyczem nie brak i muzyce humoru, co doskonale świadczy o kompozytorskiej zdolności Godeckiego w zakresie muzyki lżejszej.

Teatr „MAŁY“ pod wytrawną dyrekcją, tak bardzo dla polskiego teatru zasłużonego, Kazimierza Zalewskiego, wznowił na otwarcie sezonu, „nieśmiertelne „Śluby Panieńskie“, z nader udatnym

debiutem młodziutkiej p. Negri, w roli Anieli; wystawił „Żydów“ Korzeniowskiego, „Fircyka w załotach“ Zabłockiego, oraz „Rodzinę Fourchambault“ Augier'a.

W drugim teatrze, przy ulicy Bielańskiej, również pod dyrekcją Zalewskiego, wznowiono doskonałą komedję W. Sardou: „Madame Sans-Gêne“. Sztuka grana przed laty w jednym z letnich teatrów w wybornej obsadzie, potem wystawiona w teatrze WIEL-

KIM, doznała wielkiego sukcesu. Wznowienie obecne w „roku Napoleońskim“, bardzo trafne i szczęśliwe, doznało znów wybornego przyjęcia. Grana jest i wystawiona sztuka w „MAŁYM“, według sił i środków wcale dobrze, a Napoleon i księżna gdańska mają w panu Jaraczu i pani Bończa dobrych przedstawicieli.

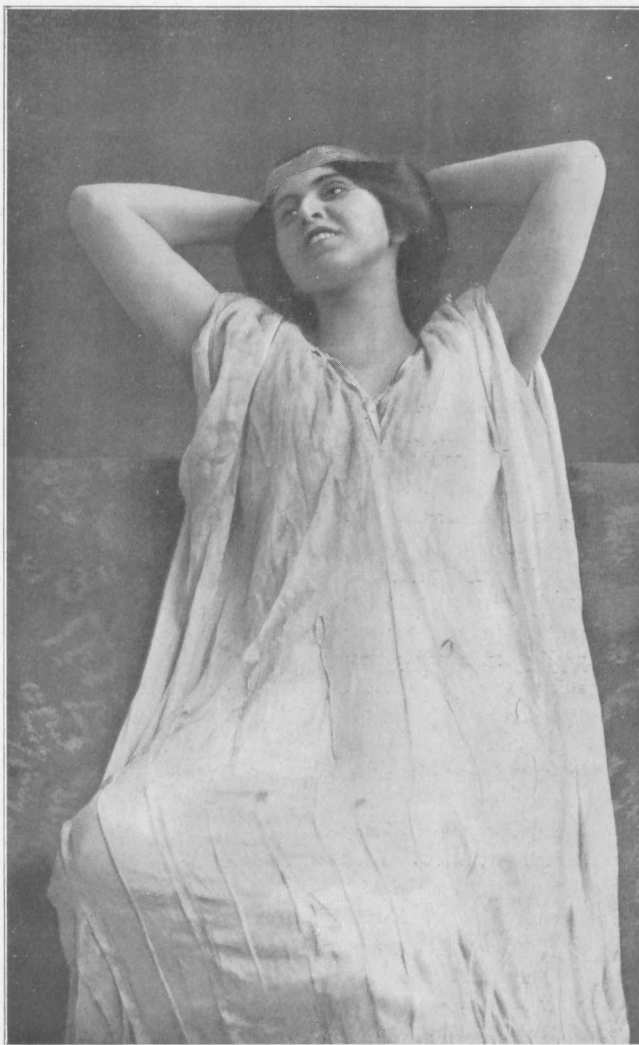
Z końcem bieżącego miesiąca, zatem już po oddaniu niniejszego numeru do druku, otwierają „ROZMAITOŚCI“ swój sezon nową komedją Stef. Kiedrzyńskiego, p. t. „Gra serc“.

Młody autor, laureat konkursu dramatycznego z przed lat dwóch (pierwsza nagroda za komedję „Dzisiejsi“) znany jest i czytelnikom „Wsi“ z swoich głębokich nowel i opowiadań.

Szersze omówienie ciekawej tej, bo oryginalnej i polskiej pre-

miery, pozostawiamy do przyszłego feljetonu, żyjąc na razie sympatycznemu współpracownikowi naszego pisma jak największego a zasłużonego sukcesu.

JASTRZ.



Poldia Dostalowa w roli „Dalili“.





Salon I.

MODA.

Powiadają, że przyzwyczajenie staje się drugą naturą — że jest to siła potężna, z którą bardzo poważnie liczyć się trzeba. Przyzwyczajenie zużywa — zagłusza w nas wrażliwość, powtarzający się stale jeden i ten sam życiowy czynnik, przestaje wreszcie oddziaływać na ustrój nasz ogólny. To fakt niezaprzeczony, a jednak... odwiecznie powtarzający się: początek jesieni budzi w nas zawsze równą, nie zagłuszoną przyzwyczajeniem niechęć, jakiś smutek, żal za tem co było — jakąś tęsknotę za słońcem, za zielenią, za ubiegłym latem, rozwianem w czasie i przestrzeni. Widząc zapłakane często niebo i pożółkłe, opadające liście, ogarnia nas mimowoli jakieś chwilowe odrętwienie, tracimy werwę, opuszczają nas „la joie de vivre“... Trzeba być bardzo młodym, lub bardzo szczęśliwym, by nie odczuć tej... atmosferycznej melancholji. Oczywiście, cały ten stan psychiczno-jesienny, mija szybko — życie zawrotnym swym biegiem porywa nas i unosi na zwykłe szlaki, godzimy się z jesienią — czekamy już weselej zimy, bo wszak każda pora roku, zarówno jak każda pora życia, ma właściwe sobie i uciechy i radości...

To pewna, że płoża i urocza, zalotna i swawolna władczyni „Moda“, nie odczuła ani na chwilę jesiennego smętku...

W kunsztownie utrefionej główce snuła i snuje coraz to nowe pomysły, układa bardzo misterne strategiczne plany zimowej kampanji, tem miłsze, że wykluczając porażkę — a pewne zwycięstwa na całej linii.

W tej wielkiej, modnej rewji, w tym wytwornym gałgankowym przeglądzie, wyczuwać się dają dwa kulminacyjne, charakterystyczne punkty. Zbytek dążący do niebotycznych szczytów i główny nacisk oryginalnych pomysłów położony na tuietach strojnych, tak zwanych *du soir*, to jest obiadowych, koncertowych i rautowych, związanych ściśle z obecną porą — wykluczającą jeszcze tuiety balowe.

Nasze *mondury* spacerowe pod postacią kostjumów *tailleur* i skromnych i strojnieszych, zostały potraktowane przez „Modę“ trochę po macoszemu, to jest, że w obecnym sezonie mniej się nimi zajęto. Są ładne — wzorowo skrojone i wykończone — zyskały prawo obywatelstwa, to już rzecz znana i uznana — przydłużono

i poszerzono trochę spódniczkę, doprowadzając ją do normalnego, przyzwoitego wyglądu, po dłużono żakiet zmieniając trochę jego fason, ale podstawowych odmian nie poczyniono, nie wysilano fantazji, która dopiero za jaśniała całym blaskiem w owych tuietach strojnych, tak nieskończenie pomysłowych, barwnych, lśniących — istotnie uroczych...

Będąc wtajemniczoną we wszystkie modne ewolucje jesiennego sezonu, czerpiąc tę wiedzę z najpierwszych źródeł paryskich, chciałam zobaczyć, jak się też w chwili obecnej przedstawia moda u nas, w Warszawie, w naszych modnych przybytkach, to jest w pierwszorzędnych magazynach. Udałam się więc do znanego mi szeregiem lat Magazynu i Pracowni *Pani Władysławy Kwiatkowskiej*, bo wiedziałam, że tam zobaczę wszystko, co w tej gałęzi Moda dała Paryżowi, a wykwinny gust i doświadczenie znalazły, wybrały i przywiozły do nas.

Jeżeli wszystko, co nas w życiu otacza, wymaga właściwego obramowania, pewnej inscenizacji i wtedy dopiero wywołuje odpowiednie wrażenie, to łatwo pojąć, że miejsce w którym się ma oglądać jakieś piękne, wytworne przedmioty, musi być umiejętnie do nich zastosowane musi podnosić, uwydatniać przedmiotów tych wartość, stanowiąc z nimi artystyczny zespół... wtedy dopiero wytwarza się harmonijna całość, schlebająca choćby najbardziej subtelnemu poczuciu piękna. Takie właśnie idealne obramowanie dla wytwornych swych klientek i dla modnych swych okazów, umiała dobrać w salonach swoich *p. Kwiatkowska*. Wchodząc do tych ślicznych pokoi, gdzie z każdego kącika wygląda pełna estetyka, nabiera się przekonania, że wszystko, co tam ujrzymy, musi być ładne, że nas tam ubiorą zupełnie dobrze, że inaczej być nie może — a to już i dla klientki i dla właścicielki połowa wygranej.

Przedewszystkiem, zwraca uwagę urządzenie stylowe, lekko zmodernizowane w szczegółach, pierwszego salonu, czyli poczekalni. Ludwik XVI. Garnitur, duże tremo, kolumny, olbrzymi stylowy regulator, starożytny stół boczny, a na ścianach cała kolekcja starych, włoskich sztychów, z widokami Rzymu, pomiędzy niemi znajduje się kilka bardzo wysokiej artystycznej wartości, oraz lustro w białych stylowych ramach, rzeźbionych misternie przez właściciela magazynu, pana Kwiatkowskiego, artystę rzeźbiarza — niestrudzonego w pomysłach i wykonaniu, bo oto drugi salon, tak zwany „*d'essayage*“, jest prawie w całości jego dziełem. Panuje w tym salonie



Salon II.

prawie niepodzielnie włoski *Renaissance*, w prześlicznych rzeźbach. Przepiękne, olbrzymie tremo z kolumnami wzorowanymi na wewnętrznych motywach Bazyliki św. Piotra w Rzymie, cały misterny garniturek mebli rzeźbionych w tymże włoskim stylu, stoły i stoliki, śliczne rzeźby w terrakocie, różnych pojedynczych figurek i grup, odpowiednie żyrandole i t. d. — składają się na zupełnie niezwykłą całość, będącą wcieleniem ślicznie pojętej sztuki stosowanej...

W tem nastrojowym obramowaniu p. Kwiatkowska przedstawia mi swój wielce zasobny arsenał tualetowy, przywieziony osobiście z Paryża. Niebywale piękne okazy przemysłu jedwabniczego w Lyonie, najwspanialsze materje i *velour'y*, dalej — pajęczę tkaniny, zasiane czarodziejskimi haftami, o całej gamie barw i blasków, o motywach przeważnie wschodnich — głównie perskich, z których powstać mają te właśnie tualety strojne — *du soir*, będące apoteozą obecnego sezonu, dalej — *moderne style* koronki, dziane ręcznie z cieniuchnych jedwabnych sznurków w kolorze *gris-perle*, piękne a tak modne frendzle, *en tubes et grelots*, dalej bezcenne koronki *Venise* i najrozmaitsze i przebogate *zdobnictwo* tualet.

Wykończano właśnie w pracowni kilka sukien weselnych, strojnych, które zostały mi przedstawione. *Szata ślubna* dla 17 letniej panny młodej, przedziwnie zastosowana do tak młodziuchnego wieku... *Crêpe de chine*, uroczy, o srebrno matowych blaskach, ujęty na szczupłej figurce w nadmarszczaną przy talji, a tworzącą jedność ze stanikiem, okrągłą do ziemi spódniczkę, zdobną na przodzie lekkim, skromnym kordonkowym haftem. Na wierzchu długi szeroki tren przypinany, a unoszony w rękę za pomocą jedwabnej klamry — przy szyi *empiecemet* z koronki, także obramowanie krótkich, japońskich rękawów i powtarzane, haftowane motywy, składają się na uroczą całość. Druga tualeta dla osoby z weselnego orszaku: na morelowym z *satin duchesse* spodzie, po-

dwójny *voilage*, czyli przysłonięcie, pierwsze z *Voile Ninon* czy też z *chiffon'u*, białe — drugie także czarne, zdobne wspaniałymi motywami w medaljonowych rysunkach, a w zestawieniu barw i blasków wywołanych opalem pereł, czerwienią rubinów, zielenią szmaragdów i blaskiem brylantów (wszystko to oczywiście sztuczne), użytych do tych wysoce artystycznych haftów. Stanik i rękawki odpowiednio zdobne — całość bogata, utrzymana w najlepszym tonie. Jeszcze jedna weselna tualeta: Na spodzie z *satin duchesse* koloru *champagne*, *voilage* z *chiffon'u noisette* (orzechowego) zdobny lśniącymi haftami z białych, okrągłych i podłużnych sieczek, zwanych *tubes* z taką frendzlą — co bardzo efektownie wygląda.

Zapomniałam dodać, że ta pierwsza strojna o podwójnym obsłonięciu tualeta, ozdobiona jest poniżej kolan szeroką koronką, wyżej wzmiankowaną, z *gris perles* sznureczków, a tualeta druga przybrana jest przepiękną koronką *Venise*.

Po tych splendorach oglądałam jeszcze 3 kostjumy i cudne karakułowe palto do ziemi. Jeden kostjum sportowy, drugi krawiecki skromny, trzeci krawiecki strojny, wszystkie modelowo piękne o kroju *impéccable* i wzorowem wykończeniu. Palto zaś z gronostajowemi presse białymi wyłogami, podbite białym *broché* atłasem, było prawdziwie luksusowym okazem a wysyłano go aż nad brzegi Amuru...

Na tem się zakończył ten piękny przegląd artystycznych, a kosztownych gałganków, które strojąc wybranki losu zapewniają byt krociom ludzi na szerokim świecie. Opuszczałam salony pani Kwiatkowskiej z raz jeszcze zdobytem przeświadczeniem, że nasza Warszawa i nasza zamożna wieś — umie, lubi i ma za co, ubierać się pięknie — stroić się wytwornie, że jesteśmy poważnym rynkiem zbytu dla wielkiego tualeto-wo-modnego przemysłu, przyczyniając się tem samem do względnego dobrobytu mas pracujących w tej gałęzi...

MARCELE.



Magazyn Władysławy Kwiatkowskiej.

CO Z TEGO?..

Z rodzinnej mojej chaty
wygnał mnie głód...
w nieznanie szedłem świąty
na ból, na trud...

Z pod mojej złotej strzechy
poszedłem w dal:
szukałem tam pociechy,
znalazłem żal...

Przed głodem z mojej wioski
uciekłem... hen...

nękały mnie tam troski,
jak straszny sen...

Powracam więc do chaty,
a za mną głód...
co z tego, żem we świąty
poszedł na trud..?

JULJUSZ DZIĘCIOŁOWSKI.

KRONIKA TOWARZYSKA.

Dnia 7 sierpnia 1912 r. odbył się ślub w Genewie panny Eweliny Dowiatt, córki ś. p. Jerzego i Stefanji z hrabiów Komorowskich Dowiattów z Dowiattowa na Żmudzi z księciem Aleksandrem Lubomirskim, synem Księstwa Leona i Marji z Chlawaczków Lubomirskich z Podnestrzan na Podolu (Galicyjskiem).



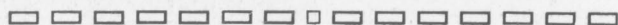
NOWY DZIENNIK. Ukazała się zapowiedź nowego pisma codziennego, które zacznie wychodzić w Warszawie w połowie grudnia p. t. „KURJER ILUSTROWANY” Będzie to pierwszy u nas ilustrowany, na sposób angielski i francuski, dziennik. W tym celu nowe wydawnictwo sprowadza specjalną maszynę ilustracyjno-rotacyjną i urządza własny zakład fotochemigraficzny do robienia aktualnych zdjęć, a z nich klisz, ilustrujących treść. Zakłady wydawnictwa mieścić się będą w specjalnie urządzonym lokalu przy ul. Moniuszki № 3. Nowe pismo wychodzić ma rano i obiecuje przez umiejętną organizację kolportażu dochodzić do rąk czytelników przed innymi dziennikami. Na czele „Kurjera Ilustrowanego” staje p. Jan Jakub Librowicz, znany w kołach dziennikarskich i handlowo-przemysłowych, jako kierownik kilku poważnych wydawnictw, co daje gwarancję powodzenia nowego u nas typu pisma, które ze względu na potrzebę rozwoju dziennikarstwa naszego powitać należy z uznaniem. Będzie to, mimo ulepszeń i inowacji, najtańszy dziennik polski.

**DOM BANKOWY
T. SZEMPLIŃSKI i S-ka**
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pani J. Z. ze Skazina: Upraszamy o przesłanie fotografii na papierze świecącym, które chętnie będziemy zamieszczali.



ZAKŁAD NAUKOWY DLA DZIEWCZĄT ELŻBIETY RADZICKIEJ

BAGATELA 10. WARSZAWA. TELEFON 264-97.

Pomimo powstania przed paru laty szeregu prywatnych szkół dla młodzieży obu płci, kwestja nauki, a zwłaszcza wychowania nie została jeszcze dostatecznie rozwiązana, choćby tylko w stosunku do bieżącej, ilościowej potrzeby.

Rzecz to zupełnie naturalna.

Warszawa jest już wielkiem miastem, w którym przyrost ludności postępuje daleko szybciej, niż rozwój kulturalny. Warszawa się rozszerza. Co roku przybywają jej na krańcach zaczątki nowych dzielnic, a zabudowywanie coraz ściślejsze nietylko wolnych jeszcze placów śródmieścia, ale różnych pustek podmiejskich, wyraźnie dowodzi, jak szybko zwiększa się zaludnienie, ile przybywa nam jednostek dziecięcych, którym potrzeba dać naukę, opiekę, wykształcenie i przygotowanie do życia.

Otwarcie każdego nowego zakładu naukowego w tych warunkach jest naturalnie faktem bardzo dodatnim, a prywatna w tym kierunku inicjatywa zasługuje nietylko na szerokie społeczne poparcie, ale i na reklamę, której dobry skutek jest przede wszystkim zyskiem ogółu. Dlatego właśnie, z tem przyjemnem przekonaniem o potrzebie jaknajszerszej w tym kierunku reklamy, donosimy o założeniu w Warszawie przez panią Elżbietę Radzicką nowego zakładu naukowego dla dziewcząt.

Pani Radzicka, zdając sobie dokładnie sprawę z konieczności uprzystępniania nauki i kultury jaknajszerszym warstwom społecznym, zakład swój

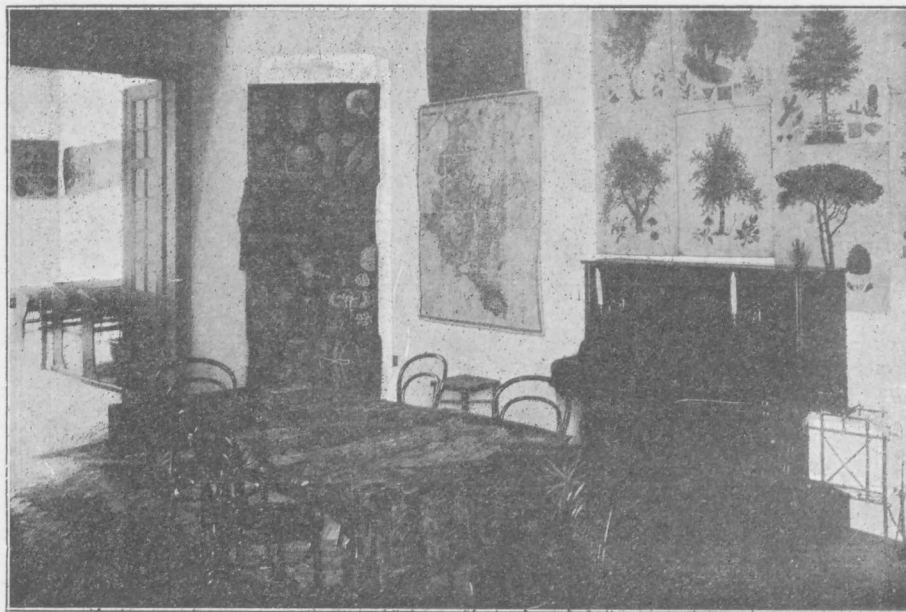
zorganizowała na systemie taniich wpisów i, pragnąc nieść przede wszystkim światło w stronę, gdzie ono z racji położenia skąpo dochodzi — ulokowała go przy ulicy Bagatela (nr. 10).

Zakład naukowy w tym właśnie punkcie jest odrazu kulturalną placówką.

Pozwala on mieszkańcom odległego od śródmieścia Warszawy, Mokotowa i całemu kompleksowi ulic położonych pomiędzy końcem Marszałkowskiej, Placem Zbawiciela, a Alejami Belwederskimi korzystać z nauki dla dzieci bez potrzeby dalekich wędrówek w śródmieście. W tej właśnie dzielnicy szkół mało, a dzieci więcej niż w śródmieściu.



Dom przy ulicy Bagatela № 10, w którym się mieści zakład naukowy p. E. Radzickiej.



Sala rekreacyjna.

Zakład pani Radzickiej jest przytem nietylko naukowym, ale i wychowawczym w szerszym zakresie, posiada bowiem pensjonat dla dziewcząt przybywających z prowincji, gwarantując im poza nauką zaspokojenie wszystkich potrzeb przy troskliwej i rozumnej, pedagogicznej opiece.

A mieści się zakład p. Radzickiej w nowym, wielkim, na wzór zagranicznych budowli, wzniesionym domu, z wszelkimi nowoczesnymi urządzeniami higieny i zdrowego komfortu, w okolicy, w której ani wrzawa i skrzęt wielkiego miasta nie zakłóca

ZA NIEMCA.

(Fragment z powieści „OWOC ZAKAZANY“, która niebawem wyjdzie w książce).

Hrabianka Żana Topolińska wyjeżdżała na starej swej wierzchowce, Fatme, z przed ganku pałacu w Topolinie w przejażdżkę ku topolińskiemu jezioru.

Fatme sztymbna w nogach i niebardzo kwapiąca się, ale posłuszna, zaniosła drogą w koło gazonu przed zajazdem, następnie wijącą się przez złociejące rżysko, swą panią ku szmatowi lasu, który pozostał jako ostatni na Topolinie ślad borów, wieńczących przed kilku jeszcze lat dziesiątkami łożysko Warty. Nie były to zapewne już bory odwieczne, w rodzaju owych przepastnych, leśnych puszczy litewskich, ale kawał, który otaczał „topolińskie jezioro“, miał wszelkie cechy romantyczności, grupy starych dębów, wyniosłych i rozłożystych, pogardliwie odcinających się od skromniejszych drzew iglicowych, które stanowiły skraj lasu. A staw sam w pośrodku był doskonale owalnego kształtu, niby także zwierciadło na toaletach dawnych elegantek, czy srebrna misa do kąpania nowonarodzonego dzieciątka szlachetnego rodu, jak je w wyprawie posagowej ongi ichmościankom wyliczano.

Głusza nastrojowa była w koło i cień i chłodek przyjemny, tam gdzie nie przedzierały się, pałac dotkliwie, zwycięzkie promienie słońca. Żanie było gorąco; kwadrans drogi w spiekocie i ruchu, chociaż umiarkowanego, okryły ją potem. Przyszła jej nagle myśl czyby się tu nie można wykąpać. Zdawało jej się też, że gdzieś wyczytała czy posłyszała, iż kąpiele wpływają na schudnięcie.

Od pomysłu do wykonania przeskok u młodej panny bywał zazwyczaj szybki. Podnosząc prawą nogę nad kulą siodła, aby wysunąć się z niego, gdy wstrzymana Fatme z lekkim jednakże zadziwieniem oglądała się na poczynanie pani, ta miała jeszcze sekundę namysłu. Ale nie co do przedsięwzięcia, które już było zdecydowanym. Tylko przyszła jej obawa, jak się, raz zlazłszy, znowu, bez pomocy, wgramoli na konia. Lecz ogromny pień w pobliżu, który mógł służyć jako ławka, napełnił ją przekonaniem, że opatrność łaskawem okiem patrzy na hazard, podsuwając sama przedmiot, uwygadniający wycofanie się z niebezpieczeństwa.

Żana zsunęła się więc z poczciwie nie ruszającej się z miejsca arabki, przywiązała ją za uzdę do gałęzi, pewna zresztą, że staruszka nie pomyśli nawet o ucieczce. Potem rozejrzała się raz jeszcze w koło. Stała nad jedną z krótszych stron jeziora. Brzeg, zasłany kobiercem zieleni, obniżał się tu

w łagodnej wklęsłości aż ku powierzchni wody. Ta, czarna od otaczających ją mroków drzewnych i tajemnicza, zdawała się taflą granitu. Lub dnem zamarłego wulkanu, na którego zewnętrznym okręgu zakrzewiła się zieloność krzaków i drzew. Nad stromym dalej brzegiem zwieszały się łożyny, niby sploty gałęzi uwite przez olbrzymiego ptaka w koło jego gniazda i wieniec ochronny. A jakby wzmocnienie, przedłużenie i wywyższenie w górę obronnego wału, okalały brzeg dalej murem drzewa, następujące aż na wodę. W miejscach, gdzie teren był podmyty przez osuwanie się ziemi, rozpuszczającej się w zdradnym sąsiedztwie mokrego elementu, korzenie drzew tylko w potężnym ujęciu przytrzymywały warstwę ziemną, pod którą potworzyły się grotty. Tuż nad brzegiem, na wpół w wodzie dawno nieużywane czółno, dnem dogóry, rozpękłe w fugach, niby w rozłazających się łuskach, zczerniałe, wyglądało jak homar czy żółw olbrzymi, mieszkańiec tej topieli.

Nad potężnym wrażeniem czaru leśnego, opuszczonej, ciemni i głuszy zakątka, wiała jeszcze grozą tajemniczą legenda o jednym z Topolińskich z przed wieku, który tu śmierci szukał i znalazł ją, romantyczną a straszną, godną warjata czy bohatera, a w każdym razie, jako zakończenie, godną życia, które wiódł. Fantasta i hulaka na jezioru urządził noce weneckie, obwoząc tu gości swych w gondolach, różnobarwnymi lampionami przybranych, przy dźwiękach kapeli i ogniach sztucznych. Mogło to być bardzo piękne na takim tle. Żywoć zakończył, jak twierdziła legenda, rozkazawszy przywiązać się do armaty, wytoczonej nad brzeg wody, tak iż strzałem rozerwane szczątki nie ziemia, lecz woda pochłonęła. Ale ten dodatek był pono historycznie nie do stwierdzenia i podług wszelkiego prawdopodobieństwa wręcz wymysłem, dokomponowanym z jakichś zamorskich narracji. Faktem było samobójstwo. Ludzie okoliczni pomimo wiekowego pochodzenia kultury, po dziś dzień niechętnie tu zachodzili, w obawie, że „straszy“.

Mieszkańcy pałacu topolińskiego mieli ztąd jeden zysk: nie potrzeba było trzymać leśniczego dla ochrony od złodziei.

Żana na owe dawne reminiscencje nie była wrażliwą.

Historję o szczątkach pradziada, jakoby rozdartych armatą i rzuconych w jezioro uważano w pałacu, wobec braku wszelkich danych potwierdzających, za wymysł, a duchów dziewczyna bała się

potrochu w nocy, ale nie za białego dnia. Urok tajemniczości jeziora działał i na nią, wszakże pewien niemiły postrach, pracy od jego ciemni, rozpędzały właśnie w miejscu, w którym stała, życiem sphywające, ulewne żarem, złote warkoczce słońca, które zesunęły się też na dotykający rozjaśnionej trawy, rąbek wody, przykładając koronę na czarno emaljowany półmisek. Tu też woda musiała być cieplejszą, osądziła Żana, przeginając się nad połyskującym zwierciadłem, by sprawdzić swe spostrzeżenie dotknięciem palców. Mimo, cienia panującego na okół, temperatura basenu, po kilkotygodniowych upałach, wogóle nie musiała być zbyt niską. Dziewczyna, strzepując palce, zadowolona, odrzuciła lęk, czy się nie zaziębi, i szybko zaczęła zrzucić odzież.

W chwili, gdy przysiadła na pieńku, by zdjąć buciki, zdawało jej się, że gałązka trzasnęła w pobliżu, — może pod stopą niepowołanego świadka. Ale nie, to Fatme dawała ulgę swoim sztywnym nogom, przestępując. Dziewczyna pozbyła się bucików i pończoch, zrzuciła rezolutnie, śladem bluzki, paska i spódnic, bieliznę i niby mleczny posąg zabielała na kobiercu murawy, — drjada. Postąpiła chwilę na słońcu, obracając się na wszystkie strony, aby mu dać dostęp wszędzie, wysuszyć kropelki potu, lśniąca drobnymi perłkami tu i owdzie. Bo słyszała, że broń Boże wejść do wody spoconą. Żana była dbała o swe zdroweczko. Namyślała się nawet, czy potem, z słońca, które wysuszało, ale i rozgrzewało jej skórę, na chwilę nie postąpić

w cień, aby znowu wychłodzić, ale z drugiej strony bała się właśnie tego chłodu i, wybrawszy najniekolekwentniejszą acz zapewne nieszkodliwą konsekwencję, podeszła do wody.

Zanurzyła najpierw końce jednej stopy w fali, cofając je szybko; potem drugiej, schyliła się, czerpiąc wodę dłonią i spryskując sobie piersi i biodra i po tych dopiero przygotowaniach wkroczyła w wodę, jasną tu i przezroczą, tak, że spód było widać, piaszczysty i równy w tem miejscu. Zagłębiała się, posuwając się naprzód, powoli, aż po pas, bijąc przytem w wodę rękoma, aby oblać i górną połowę ciała.

Wreszcie rezolutnie przykucnęła po szyję, wyskoczyła w tej samej prawie chwili w górę, gdy woda objęła chłodnym uściskiem, dotkliwym pomimo uprzednich, ostrożnych przygotowań, jej piersi i ramiona, zanurzyła się po raz drugi i trzeci i potem odczuwając dotyk mokrego elementu już tylko jako przyjemną pieśczość, namyślała się, co dalej. Obawiała się posuwać naprzód, gdyż w miarę, jak się jezioro pogłębiało, dna trudniej było dojrzeć, — mogła być jaka głębsza nierówność, w którą zapaść było łatwo, a Żana pływać nie umiała. I tak, tuż obok, ciemniejszy kolor wody, wskazywał na głębsze miejsce. Postanowiła wrócić nad sam brzeg, położyć się tam i „płechać“ się w wodzie, jak to pamiętała z pobytu kiedyś w dzieciennych latach w Kołobrzegu. Będzie to bardzo zabawnie, tak leżąc na wznak, ręce i nogi wyrzucać w górę *à la bébé*. Bo przecież trochę jeszcze w wodzie pozostanie.



NOWOŚĆ!!!

Fotele i kozetki rozkładane zastępujące wygodne łóżka.

Łóżka, łóżeczka niklowane mosiężne i żelazne.

Materace druciane i tapicerskie.

Koldry wełniane i atlasowe.

Umywalnie i garnitury do nich.

Toalety i Szafki nocne.

Wózki i Welocypedy dzieciinne.

Wieszadła do ubrań ściennie i stojące.

Meble ogrodowe, stoły, ławki, krzesła.

Ledownie pokojowe, Wanny, Prysznice.

Kłozety pokojowe, Kubły, Konewki.

Kasetki do pieniędzy i biżuterji.

Prasy do kopjowania listów.

Maszynki do kawy i herbaty.

Samowary spirytusowe i do węgla.

Serwisy do octu i oliwy.

Maselniczki, Kompotjerki.

Tace niklowe i drewniane.

Łyżki, Noże, Widelce

Lichtarze i popielniczki.

Maszynki spirytusowe i naftowe.

Filtry, Maszynki do lodów.

Wyżymaczki, Magle.

Pralnie „Całą Parą Johna“.

Kotły, żelazka do prasowania.

Garnitury biurkowe.

Kompletne wyprawy kuchenne: niklowe, aluminjowe, miedziane, emaljowane i z porcelany ogniotrwałej „L'aluminite“.

POLECA W WIELKIM WYBORZE PO CENACH FABRYCZNYCH

WŁADYSŁAW GOSTYŃSKI

Skład Fabryczny
Tow. Akc. Wł. GOSTYŃSKI i S-ka

w Warszawie, Wierzbowa No 3, tel. No 14-85.

stać trzeba, dla schudnięcia. Ale właśnie w chwili, gdy obracała się, aby się skierować do brzegu i myśl swą wykonać, uderzyło w jej uszy rzenie konia, tuż nad brzegiem, ale nie od strony, gdzie stała jej Fatme, tylko z boku. Siwka zresztą odpowiedziała natychmiast na ten sygnał końskiego powitania w takiż sposób.

Nie było wątpliwości, — ktoś podpatrywał kąpiącą. I zgadła odrazu, że to nie będzie kto inny, tylko młody sąsiad Topolina, niemiec, Goetz von Weise, włóczący się po okolicy. Bo któż by inny tu zajrzał? I wtedy przeszył ją lęk i obawa straszna

Jej pierwszy, dość niedorzeczny odruch był ukryć się w wodzie. Rzuciła się w tył ku głębszemu miejscu i poślizgnąwszy się w bok, wpadła na głębie, tracąc odrazu grunt pod nogami. Z krzykiem, który na w pół już woda zalała w jej ustach, zniknęła. Zdawało jej się, że to jest koniec, śmierć. Ciało jej wydobyło się jeszcze raz na wierzch i znowu woda zabulgotała jej w uszach. W tych sekundach miljon obrazów przesunęło się jej w mózgu, niby za raptownem pociągnięciem długiej taśmy z przezrociami w latarce magicznej. Od wczesnego dzieciństwa przez różne życia momenty aż do chwili obecnej. Słyszała kiedyś i przeniknęło ją to teraz, że ciało topiącego się jeszcze dwa razy wypływa na powierzchnię, ale za tym trzecim razem już jest po wszystkim.

Lecz chlupnęło w pobliżu, jakiś ciężar wpada-

jący w wodę, i wtem poczuła rękę chwytającą ją za ramię, wyciągającą nad powierzchnię, potem ogarniającą w pas. Czowała się niesioną do brzegu.

Rzeczywiście młody Weise, widząc katastrofę, wypadł z za drzewa, z poza którego używał ciekawego widoku, wskoczył z tem mniejszym namysłem do wody, że, jako wojskowy, pływał doskonale, i składał teraz — swą ofiarę na pobrzeżnej murawie.

Żana nie była straciła przytomności. Była tylko trochę oszołomiona. Ale jednak tak przytomną, że gdy znalazła się złożoną na brzegu, odwróciła się od swego, przyklękającego nad nią, zbawcy i rzuciła mu przez ramię, z oddalającym go gestem ręki, wprost w twarz:

— Fort! — precz. —

Oficer porwał się, powstając na równe nogi. Zauważyła przytem, że wygląda mocno śmiesznie w ubraniu, które się przylepiło do niego, spływający na wszystkie strony strumyczkami, jednym słowem, jak zmokła kura, ale też, że jest rzeczywiście ładnym chłopcem na kształtnych, wysmukłych nogach i o szerokiej piersi. Taki, w letniej kurtce mundurowej, jasnobrązowy, gdyby nie połyskujące guziki, trochę Apollo czy Hermes. Ale to była, chociaż jej się podobał, więcej machinalna docena zmysłu piękna, który tkwił w niej dziedzictwem kultury pokoleń.

Rozumiała wszakże przedewszystkiem jedno, że musi go odpędzić, chociażby tylko, żeby wymódz

ZAWIADOMIENIE

Nowo-otwarty został Bar „SATYR”

JEDYNY W SWOIM RODZAJU, Marszałkowska Nr. 81a. Telef. 102-24.

PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD STOLARSKI
I PRACOWNIA ARTYSTYCZNO-BRONZOWNICZA

A. WENDORFFA i SYNÓW W WARSZAWIE, NOWOWIELKA 22 — TELEFONU 193-34.

Wykonywa wszelkie stylowe urządzenia: Pałacowe, mieszkalne i t. p., według własnych i poleconych projektów.

Polskie Biuro Leśne

Ks. Zdzisł. Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żórawia 22, tel. 90-90.
Urządzenie gospodarstw leśnych, inspekcje i taksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

L. LIPIŃSKI

Warszawa
Plac Teatralny № 7
Telefon 75-12

MAGAZYN I FABRYKA
WYROBÓW JUBILERSKICH

Brylanty, Rubiny,
Szmaragdy,
Szafiry i Perły.

na nim i zachować u niego szacunek, bo odczuła, że bać go się nie potrzebuje. Był zbyt zmięszany i chyba żadnych złych zamiarów nie miał. Poszedł też sobie pokornie, belgocząc jakieś słowa tłumaczenia, których nie dosłyszała. Zerwała się, gdy zniknął za drzewami, na równe nogi, zatoczyła trochę, więcej ze wzruszenia, niż z osłabienia i poczęła się szybko ubierać. W miarę jak dobiegała z tem zajęciem do końca, coraz mocniej zaczynała ją napadać ciekawość, jakie też na swoim, — nie wiedziała jak go nazwać — „mordercy“ czy „zbawcy“, zrobiła wrażenie. Raczej, jakie pozostawiła u niego, bo o wrażeniu, które sprawiła jej piękność nie wątpiła. Pewną wogóle była, że korzystne, tak pod względem fizycznym, jak moralnym. Ale chętnie byłaby się w tem upewniła. Co on tam robił? Czy sobie pojechał? Zdaje się, że nie, bo nie słyszała tententu kopyt końskich. Chociaż tu jeżeli nie odjechał drogą, to po murawie leśnej mógł zniknąć, niesłyszany. A może tam siedział znowu gdzie w kącie i — podpatrywał? Na to już zdjęła ją złość. To byłoby zanadto! Ale czego po takim Niemcu można się było spodziewać, synu dorobkiewicza! Chociaż wyglądał dość przyzwoicie. Służył w gwardji w Berlinie, — musiał być przecie ogłuszony. Tylko gapa! Powinien jej być przecie

powiedzieć coś na przeproszenie. Może zresztą powiedział. Żałowała, że nie uważała na jego słowa. Ale zdaje się, że były nic nieznaczące. Trochę złość, trochę ciekawość, a trochę pewien planik, który się zarysowywał w jej mózgu, skierowały jej krokami w stronę, gdzie „zbawca“ zniknął. Fatmę ciągnęła za uzdę, w drugiem ręku wymachując szpicrutką — od obrony. Wiedziała doskonale, że w żadnym razie nie będzie potrzebowała się bronić.

Goetz siedział na zwalonej wichrem czy piorunem kłodzie, w przemoczonem ubraniu i suszył je i siebie na słońcu. Był odwrócony od niej.

Dosłyszawszy szelest sukni i dzwonienie wędzidła, zwrócił głowę ku nadchodzącej i miała prawie wrażenie, że jej się przestraszył. Może obawiał się, że obyczajem polek okrzyczanym u Niemców, jako aż nazbyt energiczne, szpicrutką chce wypłacić mu nagrodę. Chciał wstać.

Wtedy zawołała na niego, żeby się nie ruszał i nie odwracał, bo tylko pod tym warunkiem może z nim mówić. Siedział więc, nieruchomie, — jak półtora nieszczęścia, zauważyła w sobie Żana, pałac mu małą przemowę, którą sobie w mig ułożyła. Niezupełnie gładko jej to szło, bo zawsze nie mówiła po niemiecku tak, jak po polsku; ale

SKŁAD FABRYCZNY MEBLI GIĘTYCH BRACI THONET

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 20-29.

Kompletne urządzenia apartamentów, willi, teatrów, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.
Wielki wybór gotowych salonów, jadalni, sypialni i t. p. na składzie.



NAJLEPSZE GRAMOFONY

Z ORYGINALNYMI SZWAJCARSKIMI MECHANIZMAMI,
ORAZ PŁYTY W WYKONANIU SIĘ PIERWSZORZĘDNYCH

POLECA: **B. RUDZKI**

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 87.

ooooooooo CENY FABRYCZNE STAŁE. oooooooooo
CENNIKI I REPERTUARY NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

ZAWIADOMIENIE.

Po gruntownej i artystycznej przebudowie otwarto
RESTAURACJĘ W HOTELU ANGIELSKIM
(Wierzbowa Nr 6)

Z poważaniem **J. JORDAN.**

Telef.: bufet 5-90, sala 27-28, gabinety 20-74, szatnia 86-02.

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



była dosyć zadowolona z swego speech'u, którego sens był ten, że siedzący tutaj zbrodniarz postąpił sobie niegodnie i ohydnie i że, spodziewając się w obec tego po nim wszystkiego, żąda od niego słowa oficerskiego, iż zachowa dyskrecję o tym wypadku.

Myśl o żądaniu dyskrecji i słowa oficerskiego przyszła Żanie właściwie dopiero w ciągu jej przemowy. Gdy rozpoczynała, sama nie wiedziała jak skończy. Ale zakończenie, nasuwające jej się nagle, jako przeblysł genialny, na prawdę było niezłe. Tłomaczyło zupełnie jej zaczepkę. Takie też wrażenie wywarło widocznie na słuchającym, który, wysłuchawszy całej mówki, z wzruszającą pokorą rzekł:

— Ja wohl, gnaedigste Comtesse,—ganz Recht.—

Poczem dodał tylko, że dyskrecja u oficera rozumie się sama przez się, ale że na życzenie hrabianki, daje jej wyraźnie słowo, iż będzie milczał, jak grób, i prosi ją o przebaczenie za swe— natręctwo.

Hrabianka czuła się w roli nauczycielki, która niegrzecznemu uczniowi dała surową naganę, ale która teraz może i powinna mu przebaczyć. Położyła więc skruszonemu winowajcy łaskawie rączkę na ramieniu i pozwoliła mu wstać, prosząc tylko, żeby się zanadto na nią nie patrzył.

Młody oficer stanął frontem, wyprostowany, jak przed komenderującym generałem, i rzekł, wojskowym ruchem skupiając pięty do siebie.

— A więc, słowo honoru. — Ale zaraz, porzucając tę sztywną, służbiwą pozę i przechodząc w ton człowieka, najwidoczniej dobrze wychowanego, a z spojrzeniem, które mówiło więcej niż słowa, dorzucił:

— Jeżeli pani tylko pozwoli, to w najbliższych dniach z ojcem, przyjedziemy do Topolina, przypomnieć się pamięci hrabiny. —

Skinęła mu główką. Podsadził ją zręcznie i delikatnie w siodło i pożegnał głębokim ukłonem.

Żana wracała do domu bardzo z siebie zadowolona. Tylko — iść za Niemca...?

LUDWIK ROMOCKI.



BIURO MELIORACYI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddziały: WILNO, Plac Katedralny № 12 (dom Bogdanowicza), MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI”, przedstawiciel inż. IWASZKIEWICZ.

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP**
Sikawek, Narzędzi ogniowych
i Aparatów assenizacyjnych

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

Józef Troetzer i S^{KA}

Egzystuje od 1842 roku

w Pruszkowie

Biurowo w Warszawie
ul. Hr. Berga 2

Najlepszą Tekturę Smółcową, Lak asfaltowy, Smółkę gazową, Krycie dachów z długoletnią gwarancją i Roboty asfaltowe

Fabryka Tektury Smółcowej i Asfaltu **STEFAN SOROKIEWICZ i S^{KA}**

w Warszawie, Kantor: Plac Warecki 6 telef. 69-87, Fabryka: Okrąg № 6 telef. 70-87.

Próby, kosztorysy i cenniki na żądanie wysyłamy bezzwłocznie.

TABLETKI KEFIROWE

do wyrobu
domowego
 KEFIRU

Apteki **MODLIŃSKIEGO** i **LILPOPA**, w Warszawie Czerniakowska 83.

Dostać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Magazyn ubiorów męskich **E. ZAREMBA** w Warszawie, Nowosenatorska 4
Telefon 147-00.

HUMOR I SATYRA.

MAŁY LITWAK W SZKOLE.

- Pożycz mi na minutku scizorek.
- Na co ci potrzebny?
- Ja chcę na ławce wirznąć moją rodzinę.

(KOLCE).

W XX WIEKU.

- Wydała pani córkę za mąż?
- Jeszcze się wstrzymuję, bo nie wiem czy przy dzisiejszych nowych prądach feministycznych mam ją wydać za mężczyznę, czy za kobietę.

(MUCHA).

NASI ANTISEMICI.

— To straszne! Ma być wybrany posłem żyd dla Warszawy?

— Cóż w tem złego? Będziemy mieli przynajmniej o jednego żyda mniej w Warszawie!

(KURJ. ŚWIĄTECZ.)

DOROŻKARZ — FILOZOF.

- Cóż, samochody wam robią dużą konkurencję?
- Ii! Z końmi to jak z kobietami: były od początku świata, i człowiek się przecie bez nich nigdy nie obejdzie.

(KURJ. ŚWIĄTECZ.)

ESPERANTYŚCI OTWOCY (na dworcu).

- Ruchła Szmulewna, do swidanja!
- Do swidanja, Izydor Isaakowicz.
- A piszicie pocztówkies.
- A zoj. Mnogo pocztówkies z widami, a wy mnie nie zabudtie.

— O rewuar z wami! Do swidanja!

(KURJ. ŚWIĄTECZ.)



Z POŚLUBNYCH REFLEKSJI.

— Wiesz że nigdy nie przypuszczałem, aby w małżeństwie można się było tyle uczyć.

— Jakto?

— Już trzeci miesiąc po ślubie uczy się moja żona gotować, a ja się uczę — to jeść...

(LE RIRE).

NINANSE WYCHOWANIA.

Matka do córeczki: — Jak będziesz Zosiu grzeczna, dostaniesz czekoladę, jak nie będziesz posłuszna, dostaniesz tylko czekoladę!

(PELE MELE).

W KĄPIELACH.

— 300 franków za kapelusz? To mąż zrobi ładne oczy na rachunek!

— Tak! A najgłupsze to, że kazałam go sobie przysłać wprost tutaj, i nim go mąż zobaczy, to już będzie najzupełniej niemodny.

(JOURNAL AMUSANT).

ZROZUMIAŁ.

— Moja żona nic się nie troszczy o dom i gospodarstwo. Widuję ją raz na dzień, najwyżej na pół godziny.

— Ależ to straszne!

— Takie straszne to nie jest! Pół godziny prędko przechodzi...

(SIMPLICISSIMUS).

PRZEŚCIGNĘŁA WSZYSTKIE.

— Zatem pani chce wystąpić jako tancerka bosonoga à la Isadora Duncan? Lecz, to już dziś nieco pospolite...

— Tak, ale ja tańczę jedną nogą Chopina, a drugą Bethovena.

(TYG. ILL.)

ZAWSZE TEN SAM.

Pan X. spotyka pana Y. niewidzianego od zimy.

— Dzieńdobry państwu! Nie spotykamy się już teraz, boście się przeprowadzili od stycznia do nowego mieszkania. Podobno prześliczne, z komfortem urządzone?

— Ostatnie słowo wygody!

— Oczywiście i z łaźienką?

— Z łaźienką? Regina! Czy u nas jest łaźienka...?

(FLIEG. BL.)

W RESTAURACJI.

— Mój panie! Nadeptałeś mojej narzeczonej na nogę! Żądam zadosyćczynienia!

— Z przyjemnością! Przy tamtym stoliku siedzi moja żona. Idź pan i nadeptaj jej też na nogę!

(TIT-BITS).

NASZE DZIECI.

Matka opowiada małemu synkowi historję Adama i Ewy, jak powstała z jego boku. Wkrótce przychodzi chłopczyk do domu ze szkoły i woła:

— Mamo! Mam straszny ból w boku! Zdaje mi się, że dostanę żonę!

(ENDEAVOR WORLD).

PROSTE IMIĘ.

— Jak się nazywasz?

— Anna, proszę pani.

— Hm, możebym cię mogła tak nazywać, jak poprzednią pokojówkę? Miała imię daleko prostsze i wygodniejsze dla nas.

— Dobrze, proszę pani. A jak się nazywała?

— Maksymiljana.

(EPOCA).

Warunki przyjmowania Kandydatów do Szkół Zawodowych Męskich Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego w Królestwie Polskiem.

1) Instruktorów tkackich i kilimkarskich w Oryszewie, st. Żyrardów gub. Warszawskiej.

2) Instruktorów koszykarskich, zabawkarskich i przemysłu drzewnego w Nałęczowie, st. Nałęczów gub. Lubelskiej.

3) Krawców i czapników ludowych w Szymanowie, st. Teresin dr. żel. Warsz.-Kal. gub. Warsz.

Od nowowstępującego wymagany jest wiek od 16 do 20 lat, dobra znajomość czytania, pisanie i czterech działań arytmetycznych. Niezbędnym warunkiem dla przyjęcia ucznia, jest pod każdym względem wzorowe sprawowanie i dobre zdrowie. Kandydat powinien być zaopatrzony w paszport, świadectwo o powtórnym szczepieniu ospy, a także dostateczną ilość bielizny, (najmniej na cztery zmiany) i tyleż pościelowej, kołdrę, pusty siennik, dwie pary obuwia i ubrania tyle, żeby na czas pobytu w szkole wystarczyć mogło.

Naukę rzemiosła, pomoce naukowe, mieszkanie, światło, opał, opiekę lekarską i t. p. otrzymują uczniowie bezpłatnie od Towarzystwa, a tylko za utrzymanie w internacie t. j. za życie i pranie płać 7 rb. 50 kop. miesięcznie, kwartalnie z góry. Nauka trwa lat dwa.

4) Wzorowe warsztaty artystyczno-rzemieślnicze w Częstochowie w gmachu Muzeum Przemysłu Ludowego przy placu Jasnogórskim. Opłata za naukę 20 rb. rocznie, bez internatu.

5) Wzorowe warsztaty stolarskie w Złotym Potoku, st. Złoty Potok, pow. Częstochowskiego, gub. Piotrkowskiej.

O przyjęciu do którejkolwiek z wyżej wymienionych szkół lub warsztatów, zwracać się należy do Zarządu Towarzystwa Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 5, piśmiennie, lub osobiście.

Uczelnie Zawodowe dla Kobiet.

6) Kursy dla instruktorek tkactwa w Grędzicach st. Ciechanów, gub. Płocka. Kandydatki przyjmuje się w wieku od 16 do 30 lat. Wymagana umiejętność czytania, pisanie i czterech działań arytmetycznych. Uczennice płać za naukę, całkowite

utrzymanie i opranie rb. 100 rocznie, kwartalnie z góry. Kursy rozpoczynają się 15-go Stycznia i trwają do lat dwóch.

7) Kursy dla instruktorek koronkarstwa Warszawa ul. Szara № 1. Opłata za naukę bez internatu 5 rb. miesięcznie. Całkowity kurs roczny.

8) Kursy dla instruktorek nicianego guzikarstwa Warszawa ul. Warecka № 7. Opłata za naukę bez internatu 10 rb. Kurs całkowity trwa około 2 tygodni.

Wakanse są obecnie we wszystkich wyżej wzmiankowanych szkołach zawodowych, warsztatach i uczelniach Towarzystwa, prócz w szkole instruktorów tkackich w Oryszewie.

Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

Fatynicy. List pani ucieszył mnie bardzo, ponieważ dowodzi, że rady moje osiągnęły oczekiwany skutek. Powtórzyć raz jeszcze masaż i usunięcie wągrów w Kalotechnice, jak również płyn Vesta i perełki alkaliczne — a cera wkrótce oczyści się zupełnie z króst i wągrów.

Przeciw otyłości zalecam Herbatę D-ra Deloffa oraz pigułki Oxylenowe, stosować trzeba przez 3 miesiące.

Obydwa środki są dla zdrowia absolutnie nieszkodliwe.

Ciekawej. Cerę wrażliwą najlepiej konserwuje woda różana radioaktywna oraz Otrąbki Vesta zamiast mydła. Na noc zawsze posmarować twarz Emulsją Radium, która ma własność zapobiegania zmarszczkom.

Z pudrów zupełnie nieszkodliwy jest puder higieniczny „Vesta”. Opaleniźnie usunie krem angielski D-ra Orgley'a.

X. I. Z. Z opisu sądząc, jest to choroba włosów poważna, niech Sz. Pan przyśle włosy do Kalotechniki, Marszałkowska 116, dla zrobienia analizy lekarskiej. Kosztuje rb. 3.

Lekarz zbada i zaleci odpowiednie środki. Zakład ten jest prowadzony tak sumiennie, że z całym zaufaniem polecić go Sz. Panu mogę.

Siwiejącej. Włosy na kolor czarny doskonale ufarbuje farba D-ra Phonsec'a. W Krakowie dostanie Pani tę farbę u Miklaszewskiego, Pl. Dominikański 1.

Staremu kawalerowi. Przykry zapach z ust usunie Elixir radiowy, który ma własność odkażania jamy ustnej i zapobiegania psuciu się zębów. Myć włosy mydłem płynnym Antrasolowem oraz nacierać skórę głowy codziennie Radiolem, łupież zniknie i włosy nie tylko przestaną wypadać, lecz nowe rosnąć będą.

Wszystkie środki, odpowiedzią moją objęte, posiada na składzie Kalotechnika, oraz wysyła na prowincję za zaliczeniem pocztowym. W Łodzi Spiess, w Kijowie Gruzewski, we Lwowie Pawłowski, Akademicka 21, w Piotrkowie Kryński, w Lublinie Bernatowicz.

M-me LENA.

POWSZECHNE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 16/18. ——— Adres telegraficzny „ALGEM”.

WŁASNE FABRYKI W RYDZE.

Wszelkie instalacje Elektryczne. ——— Wielkie Składy materiałów elektrycznych.

BUCHALTERJI

samodzielnego prowadzenia ksiąg handlowych i rolniczych wycuczają gruntownie Kursy dozwolone przez Warsz. Okrąg Naukowy (oddzielnie męskie i oddzielnie żeńskie).

H. CHANKOWSKIEGO autora podręczników handlowych:

Buchalterji nagrodz. dyplomem, Korespondencji handlowej, Arytmetyki handlowej i Buchalterji rolniczej w Warszawie, Nowogrodzka 37, telefon 19-90, (od 1 października Królewska 35, róg Marszałkowskiej).

Wykłady na Kursach nie szkolne; każdy z uczących się przechodzi swój kurs nauki oddzielnie, tak jakby w rzeczywistości pracował w kantorze, wskutek czego nabiera takiej wprawy, że po ukończeniu nauki może zupełnie samodzielnie prowadzić księgi buchalt. handl. lub rolnicze

Na Kursach wykłada się również: Kaligrafja, stenografja i pismo na maszynach.

Osoby zamieszkałe na prowincji, całkowity kurs nauki mogą przechodzić sposobem piśmiennym.

PROGRAM WYSYŁA SIĘ BEZPŁATNIE.

BUCHALTERJA AMERYKAŃSKA WIELOKONTOWA układu **HENRYKA CHANKOWSKIEGO**

dla wielkich przedsiębiorstw: handlu, fabryk, gospodarstw rolnych i t. p. w której, bez powiększenia długości księgi głównej, można prowadzić do 50 rachunków. — Cena 50 kop.

Podręczniki ułożone i wydane przez H. Chankowskiego:

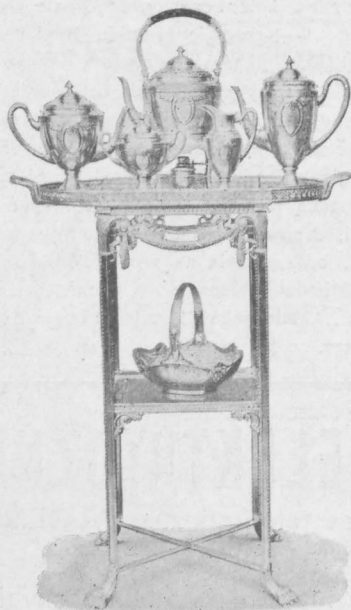
1. BUCHALTERJA pojedyncza i podwójna metody: amerykańska, amerykańska wielokontowa, angielska, fabryczna, francuska, kameralna, kartkowa, logisograficzna, niemiecka, rosyjska, sekretna, synchroniczna, ulepszona jedno, dwu i trzech kontowa, włoska itp. prowadzone w: handlach detalicznych, hurtowych; domach handlowych: agenturowych, komisowych, ekspedycyjnych i bankowych; spółkach handlowych i udziałowych; towarzystwach akcyjnych, towarzystwach wzajemnego kredytu, towarzystwach pożyczkowo-oszczędnościowych i kasach kredytowych; fabrykach. Wydanie VI. Cena za 2 tomy (1012 str.) 4 rb. 50 kop.
2. BUCHALTERJA AMERYKAŃSKA dla handli detalicznych, aptek, składów aptecznych i właścicieli domów. Wydanie III. Cena 1 rb. 50 kop.
3. BUCHALTERJA ROLNICZA amerykańska. Wydanie II. Cena 1 rb. 50 kop.
4. ARYTMETYKA HANDLOWA FINANSOWA. Wydanie III. 2 tomy (625 str.). Cena 3 rb. 50 kop.
5. KLUCZ do arytmetyki handlowo-finans. Cena 1 rb.
6. ARYTMETYKA w zakresie szkół średnich z 40 rysunkami w tekście. Cena 1 rb.
7. DYSKONTO WEKSLI i rach. bieżące. Cena 75 kop.
8. SZCZOTY i maszynka do mechanicznego wykonywania rachunków. Cena 50 kop.
9. KORESPONDENCJA HANDLOWA. Wydanie II. Cena 2 rb.
10. EKONOMJA I TERMINOLOGJA HANDLOWA. 50 kop.

Powyższe wydawnictwa można nabywać w Kancelarii Kursów Buchalteryjnych H. CHANKOWSKIEGO w WARSZAWIE, Nowogrodzka 37 (od 1/10 r. b. Królewska 35).

A. JASKULSKI

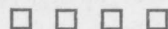
WARSZAWA, WIERZBOWA Nr. 1.

SKŁAD FABRYCZNY I WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ
☞☞ WYROBÓW PLATEROWANYCH ☞☞



AKC. TOW. **R. PLEWKIEWICZ i S^{KA}**

SZTUĆCE PLATEROWANE NAJNOWSZYCH MODELI
WIELKI WYBÓR PRZEDMIOTÓW NA DARY I PREZENTY
☞☞☞☞ TY OKOLICZNOŚCIOWE. ☞☞☞☞



WYPRAWY DLA NOWOŻEŃCÓW, HOTELI, RESTAURACJI, KAWIARNI. WYROBY Z BRONZU, SREBRA, CENNEGO MARMURU. PRZYBORY NA BIURKA I TUALETY.
☞☞☞☞ WYROBY KOŚCIELNE. ☞☞☞☞

CENNIKI.